DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYS. PATRYK KOCH, FOT. DANIEL TURBASA/SHUTTERSTOCK, PARKPOOM, DOUNGKAEW/SHUTTERSTOCK

Analiza / M**3**

Sztuka minimalizowania ryzyka

W obliczu zagrożenia terrorystycznego nie możemy się przygotowywać wyłącznie do takiej bitwy, jaka już się rozegrała

pisze Witold Sokała

Wywiad / M**5**

Łańcuszek dezinformacji

Rosyjski aparat propagandowy wykorzystuje okazję: powiela treści, które się pojawiają w naszej infosferze, i tworzy własne przekazy

mówi Marcin Fic

Bezpieczeństwo / M**8**

Nowy niebezpieczny trend

Wiemy, że nihilistyczny przemocowy ekstremizm (NVE) staje się coraz popularniejszy wśród młodych. A ekonomia uwagi normalizuje ekstrema

zauważa Adam Lankford

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 221 (6890), 13–15 LISTOPADA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl 6757e36917

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

Wywiad / M9

Będzie baza. Postawiliśmy kropkę nad i

Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia możemy się spodziewać podpisu Donalda Trumpa, który uruchomi tworzenie stałej bazy wojsk USA w Polsce
mówi Magdalena Sobkowiak-Czarnecka

Technologia / M14

Pan i pani Huang

Romans byłego szefa firmy produkującej chipy na potrzeby AI z kobietą, która mogła być chińskim szpiegiem, zaostrzy politykę eksportową USA
pisze Tomasz Jóźwik

USA / M16

Lepiej wynajmijcie prawników

Demokraci planują lawinę śledztw dotyczących korupcyjnych procederów rodziny Trumpów i jej akolitów
relacjonuje Emilia Świętochowska



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W Krakowie potrafili razem milczeć. Z rozmową jest gorzej

Daria **Al Shehabi**

Jest coś gorzkiego w tym, że premier i prezydent potrafią stanąć ramię w ramię tylko wtedy, gdy wydarzy się coś strasznego. W poniedziałek Donald Tusk i Karol Nawrocki szli na czele marszu, w którym mieszkańcy Krakowa oddali hołd ofiarom zamachu. Pomogło zapewne to, że był to marsz milczenia. Na zakończenie hejnalista odegrał „The Sound of Silence".

Zaraz po zamachu wybuchła awantura. Część polityków prawicy sugerowała, że w Krakowie zabrakło policjantów, bo pilnowali Trybunału Konstytucyjnego w Warszawie. Śledczy dopiero zaczynali pracę, a winni już zostali wskazani. O działania służb trzeba pytać, ale czym innym jest szukanie odpowiedzi, a czym innym szukanie okazji do uderzenia w przeciwnika.

Z rozmową jest gorzej niż z milczeniem. Po posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego Donald Tusk zaproponował Karolowi Nawrockiemu spotkanie bez kamer, by porozmawiać o kryzysie wokół TK. Pałac Prezydencki postawił warunki: najpierw wycofanie policji i przywrócenie dostępu do trybunału sędziom, których głowa państwa uznaje za legalnie wybranych. Żeby omówić rozwiązanie sporu, trzeba więc najpierw przyjąć rozwiązanie jednej ze stron. Osobliwe, ale przynajmniej wiadomo, dlaczego do spotkania nie doszło.

Jeszcze 31 października premier, nawiązując do nocnej interwencji prezydenta w TK, nazwał go „agresywnym osiłkiem". Po RBN zaczął korzystać z innego repertuaru. Najpierw propozycja rozmowy w cztery oczy, potem marsz w Krakowie, wreszcie zaproszenie wystosowane 11 listopada w Szczecinie. – Panie prezydencie, mieliśmy się spotkać. Trochę czekałem na to zaproszenie, ale od serca, nie czekając dłużej, chcę zaprosić pana razem z małżonką, z rodziną, z dziećmi do mnie do domu w Sopocie. Podzielmy się opłatkiem przed Wigilią. Porozmawiajmy. Moje mieszkanie nieduże, ale znajdzie się dla nas dwóch miejsce przy stole w kuchni – powiedział Donald Tusk. – Porozmawiajmy, jak to się kiedyś mówiło, jak Polak z Polakiem. Polska warta jest naszej rozmowy – dodał.

Przyznam, że mnie to wzruszyło. Jest w tej propozycji coś ujmująco staroświeckiego, z czasów, gdy demokratyczna opozycja debatowała o Polsce przy kuchennych stołach. Jakby Tusk odgrzebał w piwnicy stary podręcznik Jacka Kuronia i przypomniał sobie, że politykę można uprawiać także w ten sposób. Tyle że Nawrocki jest z innego pokolenia i innej politycznej bajki. Wyobrażam sobie jego reakcję: można iść do domu kolegi, a nie faceta, którego się zwyczajnie nie lubi. Zwłaszcza jeśli tym facetem jest Tusk. Nie sądzę, by premier liczył na przedświąteczną wizytę prezydenckiej rodziny. Gdyby obstawiał, zapewne postawiłby 99 proc. na odmowę, a pozostały 1 proc. zachował na wypadek ciekawego zwrotu akcji. Nie znaczy to, że zaproszenie jest nieszczere. Polityczny instynkt i ludzki odruch mogą iść ze sobą w parze.

I właśnie dlatego to Tusk wykonał najciekawszy ruch. Zaprosił prezydenta do domu, doskonale wiedząc, że ten nie przyjedzie. Dla najwierniejszych zwolenników Karola Nawrockiego jest to oczywiste. Skoro premier, ich zdaniem, przeprowadził zamach stanu, trudno jechać do niego z rodziną na opłatek. Poza prawicowym obozem taka odmowa może wyglądać inaczej: jak niezdolność do przyjęcia nawet najprostszego gestu życzliwości. Premier pozostanie człowiekiem, który pierwszy wyciągnął rękę.

Przez lata prawica zrobiła z Tuska uosobienie wszelkiego zła. Mogła spierać się o gospodarkę, Unię Europejską czy stosunek do Rosji, ale niechęć do obecnego premiera była wyjątkowo trwałym spoiwem. I w tym tkwi pułapka. Politycy tak długo uczyli swoich wyborców nienawiści do przeciwnika, że sami stali się jej zakładnikami. To, co miało służyć mobilizowaniu elektoratu, zaczęło wyznaczać granice zachowania jego reprezentantów. Nawet uprzejmość może wymagać usprawiedliwienia.

Premier również ma wyborców, którzy nie wybaczyliby mu pobłażliwości wobec PiS. I on bywał zakładnikiem tej logiki: „agresywny osiłek" sprzed niespełna dwóch tygodni niczego nie rozwiązywał, lecz twardy elektorat właśnie tego oczekiwał. Zaproszenie do Sopotu nie jest żadnym ustępstwem. Tusk od lat skraca dystans wobec własnych wyborców, żartuje, bywa serdeczny, a chwilę później potrafi bezlitośnie potraktować przeciwnika. W tej roli jest wiarygodny. Nie musi udawać, że nagle polubił Nawrockiego. Wystarczy, że przypomni swoim zwolennikom, iż demokrata może ostro walczyć, a mimo to zaprosić oponenta do stołu. Nie musi przejmować języka prawicy ani ścigać się z nią na wrogość.

11 listopada prezydent nie zrezygnował z języka sporu. Po podziękowaniach dla tych, którzy ratowali ludzi w Krakowie, zarzucił rządzącym, że „w ostatnich tygodniach zupełnie pogrzebali prestiż Trybunału Konstytucyjnego". Dostało się też ministrowi finansów. Potem była opowieść o magnatach, którzy uważali się za właścicieli Rzeczypospolitej i wypowiadali królowi „wojnę totalną". Tusk po tym wystąpieniu napisał: „Chociaż w tym jednym dniu mógł próbować Polaków nie dzielić, a łączyć. Szkoda". Opłatek opłatkiem, ale taryfy ulgowej nie będzie. I dobrze, bo zaproszenie do domu to nie to samo co zawieszenie broni.

Premier chyba przypomniał sobie coś, o czym zdarzało mu się zapominać: nie musi grać na zasadach przeciwnika. Ma własny demokratyczny arsenał. W Krakowie razem z prezydentem milczał, w Szczecinie zaproponował mu rozmowę. Owszem, to zaproszenie jest zarazem gestem i pułapką, a Nawrocki najpewniej z niego nie skorzysta. Ale wolę premiera, który nakrywa przeciwnikowi do stołu, niż takiego, który zatrzaskuje mu drzwi przed nosem. ©℗

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn: Anna Masłoń (kierownik), Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska, Marcin Mroziuk (tygodnik PiK), Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler, Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap, Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter, Garmond Press, GLM, AS Press oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
℗ – znak odpłatności;
©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

eprasa.pl 6757e36917

Sztuka minimalizowania ryzyka



FOT. JAKUB PORZYCKI/REUTERS/FORUM

W obliczu zagrożenia terrorystycznego nie możemy się przygotowywać wyłącznie do takiej bitwy, jaka już się rozegrała

Witold

Sokała

Liczne definicje terroryzmu mówią, że jest to działanie pośrednie – czyli uderzające nie we właściwych, docelowych adresatów pretensji lub postulatów sprawcy, lecz w inne, nawet przypadkowe osoby. Wywołanie silnych, zbiorowych emocji stanowi natomiast narzędzie wymuszenia pożądanych przez napastnika zachowań dużych grup społecznych, instytucji lub władz publicznych.

Do niedawna oczywistym warunkiem zakwalifikowania danego działania do kategorii terroryzmu było zastosowanie przemocy, acz od pewnego czasu, w obliczu wrogich działań w cyberprzestrzeni, ulega to relatywizacji. Podobnie zresztą jak stanowisko utrzymujące, że motywacje strony atakującej powinny być polityczne. Możliwy jest przecież np. terroryzm na tle komercyjnym, który wykazuje liczne podobieństwa co do skutków oraz proponowanych metod zwalczania. To samo dotyczy sytuacji, w których sprawca kieruje się motywami osobistymi, lękami i frustracjami, a nawet cierpi na zaburzenia psychiczne.

W polskim systemie prawnym przyjęto elastyczną i pojemną definicję „przestępstwa o charakterze terrorystycznym". Artykuł 115 par. 20 kodeksu karnego wskazuje, że jako terrorystyczne kwalifikuje się działanie przestępcze, zagrożone sankcją co najmniej pięciu lat pozbawienia wolności, które zmierza do przynajmniej jednego z następujących celów: poważnego zastraszenia wielu osób, zmuszenia organu władzy publicznej do podjęcia lub zaniechania określonych czynności, ewentualnie do wywołania poważnych zakłóceń w ustroju lub gospodarce. Zaznacza się przy tym, że może to dotyczyć nie tylko Polski, lecz także innych państw, a nawet organizacji międzynarodowych. Nie ma nawet wymogu rzeczywistego przeprowadzenia wrogiej akcji, wystarczy jej groźba. Polityczna motywacja jest ujęta jako opcja istotna, acz niekonieczna.

Festiwal fauli

W tej sytuacji prokuratura niemal od razu zakwalifikowała działania Michała O. jako akt terrorystyczny. I nie ma tu znaczenia jego faktyczny motyw, który pozostaje niejasny, i którego pewnie nigdy nie poznamy i nie zrozumiemy do końca. Wersja wskazująca na głębokie problemy psychiczne zamachowca, być może z kontekstem rodzinnym, w tym z silnie zaznaczonym elementem zazdrości wobec utalentowanej siostry (na co wskazuje zarówno odpalenie sprawcy akurat po jej przyjeździe do domu, jak i wybór na miejsce zbrodniczej akcji właśnie Krakowa, okolic Rynku, czyli bliskiego sąsiedztwa Akademii Sztuk Pięknych), wydaje się dzisiaj relatywnie prawdopodobna, ale wcale niejedyna. Za to niektórzy próbują na siłę dorabiać do tego zbiorowego morderstwa kontekst polityczny czy wręcz partyjny, bo widzą w tym dla siebie taktyczne korzyści, ewentualnie w ten sposób dają upust nienawiści pod adresem politycznych przeciwników.

Dotyczy to m.in. ministra Marcina Kierwińskiego, który (nie czekając na jakiekolwiek realne ustalenia śledczych) stwierdził, iż „wszystko wskazuje na to, że sprawca był zafascynowany ideologiami skrajnie prawicowymi". Notabene z punktu widzenia interesu opcji rządzącej te słowa to „gorzej ▷

eprasa.pl 6757e36917

niż zbrodnia, to błąd" – gdyż w znacznej mierze rozbroiły i skompromitowały narrację, która poprowadzona lepiej, z mniejszym pośpiechem, mogła się okazać znacznie bardziej wiarygodna, a przez to taktycznie użyteczniejsza dla obozu władzy. Po tak nadgorliwym zdradzeniu intencji wszystkie dalsze informacje są zaś z góry odrzucane przez sporą część opinii publicznej jako sztucznie dobierane pod tezę. Nie pomoże ani flaga Gadsdena (bo posługują się nią nie tylko prawicowcy), ani odkrycie, że ojciec zabójcy bywał członkiem komisji wyborczej z ramienia marginalnej partyjki prawicowej i prorosyjskiej (bo wielu ludzi dorabia sobie w ten sposób, czasami przypadkowo korzystając z oferty tego, a nie innego komitetu), ani informacja, że sprawca wyszukiwał w sieci informacje o Andersie Breiviku, zamachowcu z wyspy Utoya (bo to wpisuje się w jego fascynację masową przemocą, ale niekoniecznie potwierdza podzielanie ideowych motywacji tamtego mordercy).

Z pewnością nie pomoże też emerytowany płk Andrzej Derlatka, który w telewizji publicznej, wykorzystując ekspercki autorytet byłego szefa Agencji Wywiadu, obarczył współwiną cały Ostrowiec Świętokrzyski, mocno na wyrost opisując go jako miasto ponadprzeciętnie sprzyjające „narodowcom i zwolennikom Żołnierzy Wyklętych".

Analogicznie – z drugiej strony politycznej barykady pojawiły się liczne głosy, próbujące obciążyć za tragedię Koalicję Obywatelską. Bodaj jeszcze bardziej absurdalne, bo operujące zarzutem o zorganizowanie zamachu przez polskie służby lub przynajmniej o ułatwienie go przez rzekome skoncentrowanie sił policyjnych w Warszawie. Do tej samej kategorii można zaliczyć popularny w prawicowych bańkach medialnych przekaz o jakoby skrajnie lewicowych sympatiach zamachowca (tu dowodem bywają jego dawne żarty z papieża i stara fotka z tęczowymi barwami), a także kłamliwe narzekanie na zbyt późną akcję sił policyjnych oraz zarzuty braku długiej broni na wyposażeniu patroli (często ze strony ludzi, którzy nie tak dawno gromko oburzali się na wieść o tym, że policjanci mogą takową w pewnych okolicznościach otrzymać). Żenadometr wybił skalę.

Czego nie robić

Nawet abstrahując od etycznej oceny takich działań, dla większości Polaków chyba oczywistej, można wskazać ich wymiar bardzo pragmatyczny. Otóż bywają one silnie polaryzujące, podkręcające poziom społecznych emocji, a jednocześnie podkopują resztki zaufania do instytucji państwa, kluczowych w zapewnianiu nam wszystkim bezpieczeństwa – stanowią więc świetny prezent dla wrogów zewnętrznych. Najgorsze, że ci nie musieli się nawet postarać – my sami, bez cienia zaangażowania z ich strony, wykorzystując dowolny pretekst, robimy właśnie to, co w innych okolicznościach kosztowałoby obce służby sporo czasu i środków.

Apelowanie do rozsądku i przyzwoitości pewnie nic tu nie da. Pozostaje ku przestrodze dla zanadto wkręconych przypomnieć casus hiszpańskiego premiera José Aznara, który po zamachach terrorystycznych w Madrycie w roku 2004 bardzo chciał ubrać w sprawstwo baskijskich separatystów i zamaskować w ten sposób udział Al-Ka'idy, bo tak było mu wygodnie z bieżących względów politycznych. Po czym na fali społecznego oburzenia został za tę prymitywną manipulację ukarany utratą władzy. Zmultiplikowało to niestety strategiczne korzyści zamachowców, bo nowy, socjalistyczny gabinet zrobił dokładnie to, na czym zależało islamistom, czyli wycofał hiszpańskie wojska z Iraku. Oznacza to, że kłamać – owszem – czasami można, wszak na tym m.in. polega polityka, czy się to komu podoba, czy nie. Nie należy natomiast w żadnym przypadku kłamać głupio. Bo szkody bywają bardzo bolesne.

W terroryzmie liczy się efekt, a więc właśnie spowodowanie u bardzo wielu osób poczucia silnego lęku i zagrożenia, co w konsekwencji zmusza władzę do reakcji. Ta reakcja zaś może być mądra... albo wręcz przeciwnie. Do najczęstszych zaś błędów, popełnianych przez polityków pod wpływem takich dramatycznych wydarzeń, bywa pracowite przygotowanie się wyłącznie lub głównie do bitwy, która została już rozegrana. Tymczasem wyciągnięcie z niej wniosków i naprawienie ewentualnych, wykazanych przy okazji deficytów w systemie bezpieczeństwa – jest bardzo pożądane, lecz niewystarczające. Pokusa skupienia się na zidentyfikowanym właśnie zagrożeniu musi być równoważona świadomością, że czyhają na nas także inne, może nawet częściowo podobne, ale jednak mające inne tło oraz gotowe przejawić się na tysiąc odmiennych sposobów.

Zmiana i płynność

„Granice ideologiczne stają się coraz bardziej niewyraźne" – wskazuje niedawny raport Międzynarodowego Centrum ds. Zwalczania Terroryzmu (ICCT) z siedzibą w Hadze, którego współautorem jest jeden z wybitniejszych polskich specjalistów dr Kacper Rękawek. Opracowanie wychodzi poza analizę statystyk i skupia się na sposobie, w jaki służby bezpieczeństwa wybranych państw postrzegają ewolucję i stan obecny zagrożeń terrorystycznych, uwzględnia więc także dane jakościowe – daje przez to obraz znacznie ciekawszy niż np. coroczne raporty Europolu. Czytamy tam, że „ekstremizm antyrządowy (AGE), nihilistyczny, brutalny ekstremizm (NVE)", ale również „mizoginia" i dynamika aktywizacji „środowisk incelskich" oraz „inne hybrydowe lub postideologiczne formy brutalnego ekstremizmu" znacząco komplikują posługiwanie się konwencjonalnymi kategoriami. Służby bezpieczeństwa coraz częściej obserwują szybkie „przemieszczanie się między środowiskami ideologicznymi" jednostek, „motywowanych głównie żalami, fascynacją przemocą i czynnikami osobistymi, a nie spójną ideologią". Brzmi to jak dokonany z wyprzedzeniem opis wysoce prawdopodobnych okoliczności zbrodni z Krakowa i Ostrowca, jednocześnie tłumaczący pozorne sprzeczności pomiędzy różnymi symbolami, którymi operował w różnym czasie Michał O.

Takie przypadki mogą się powtarzać – bo powyższe konstatacje wpisują się w znane psychologom i socjologom trendy, zwłaszcza dotyczące młodego pokolenia wychowanego w sieci, poddanego po drodze traumie pandemii, skrajnie relatywizującego afiliacje i spory polityczne istotne dla starszych generacji. Klucz ideowo-polityczny, jako narzędzie wczesnego typowania potencjalnych sprawców, okaże się więc czasami absolutnie bezużyteczny.

Oczywiście – jego przydatność nie minie, nie możemy w tym względzie popadać w przesadę, bowiem nie znikną motywacje czysto ideologiczne. Terroryzm nie jest też przypisany wyłącznie młodzieży, o czym warto pamiętać, by nie ograniczyć profilaktyki i monitoringu tylko do niej. Wspomniane raporty nadal wyraźnie sygnalizują, że duża część dokonanych w Europie zamachów to jednak robota islamistów (wedle Europolu po 24 ataki w 2024 r. i w 2025 r.). Dopiero dalej mamy terroryzm lewicowy i anarchistyczny (odpowiednio: 21 i 12), prawicowy (1 i 5), etnoseparatystyczny (4 i 0) oraz „inny" (8 i 4), czyli coś, co ze względów „politycznie pragmatycznych" poszczególne rządy wolą pozostawiać bez nazwania po imieniu.

Jednocześnie najnowszy dokument Europolu też dostrzega „hybrydyzację ideologii" oraz coraz mocniejsze zaznaczenie się państwowego sponsoringu – przy czym warto mieć świadomość, że o ile np. Iran z natury rzeczy chętnie posługuje się osobami o motywacji islamistycznej, to Rosja wykorzystywać może praktycznie każdą jednostkę, którą zdoła popchnąć do czynów przestępczych. Bazą werbunku może być szczególna podatność psychologiczna (niekoniecznie o nasileniu chorobowym), ale też pieniądze. Ideologia, ta czy inna, może – lecz bynajmniej nie musi – odegrać swoją rolę. Praca oficera prowadzącego może się przy tym odbywać całkowicie zdalnie.

Pogoń za cieniem

„Zagrożenie to w coraz większym stopniu charakteryzuje się atakami o niskiej złożoności, które są trudne do wykrycia. Samotni aktorzy i małe komórki mogą szybko się mobilizować, wykorzystując łatwo dostępne środki przeciwko łatwym celom. Stwarza to stałe wyzwanie dla prewencji opartej na danych wywiadowczych, szczególnie w przypadku ograniczonego wcześniejszego kontaktu ze służbami bezpieczeństwa" – piszą analitycy ICCT.

Ten wniosek przenosi punkt ciężkości polityki powstrzymywania terrorystów ze znanych i sprawdzonych procedur, wykształconych w trakcie wojny z terroryzmem islamistycznym, na obszary jakościowo nowe. W pierwszych dwóch dekadach XXI w. za kluczowe uznawano zaangażowanie potencjału przeciwnika, w jak największym stopniu, na jego własnym terenie (tę rolę spełniały m.in. interwencje militarne w Afganistanie i Iraku). Również – infiltrację środowisk i organizacji fundamentalistów, połączone z ich wewnętrznym rozbijaniem oraz przecinaniem ich infrastruktury zadaniowania i finansowania (szczególnie to ostatnie dało całkiem niezłe efekty). W trzeciej dopiero kolejności skupiano się na fizycznym zabezpieczeniu wybranych obiektów, uznawanych za szczególnie wrażliwe na potencjalny atak, co było w pewnym stopniu ułatwione dzięki możliwości wyprzedzającego, wywiadowczego pozyskiwania informacji o planach terrorystów.

W zmienionej rzeczywistości przydatność działań z dwóch pierwszych obszarów staje pod ogromnym znakiem zapytania. Owszem, zmuszenie podmiotów systemowo sponsorujących terroryzm do tego, żeby musiały zająć się przede wszystkim problemami na własnym zapleczu, a nie szkodzeniem nam, nadal jest teoretycznie możliwe. Ale – bardzo trudne, także psychologicznie i politycznie, bo np. w stosunku do Rosji musiałoby oznaczać prowadzenie kinetycznych działań dywersyjnych na jej terytorium. Czy zachodnie służby specjalne są do tego zdolne na odpowiednią skalę przy ich systemie zadaniowania, finansowania i nadzoru? Bardzo wątpliwe.

Infiltracja? Owszem, kombinacja wywiadu elektronicznego i osobowo-agenturalnego może nam dostarczyć istotnych informacji co do działań werbunkowych przeciwnika oraz tego, które obiekty wybrał sobie jako cele. Ale nie miejmy złudzeń, nawet przy najsprawniejszym działaniu własnym, dziury w zastawianej w ten sposób sieci będą nadal niebezpiecznie duże.

Bez wątpienia nieco pomaga doskonalenie systemu wczesnego typowania osób podatnych na radykalizację, prawicową, lewicową czy jakąkolwiek inną, a przede wszystkim osób wykazujących pewne typowe dla przyszłych zamachowców odchylenia psychiczne. Tyle że tego nie zrobią z poziomu centralnego żaden rząd ani żadna agencja bezpieczeństwa lub policja. Niezbędne jest zbudowanie lokalnych sieci obejmujących szkoły, kościoły, kluby sportowe, wspólnoty sąsiedzkie i tym podobne instytucje. Wzorce są, ćwiczą to Brytyjczycy, Holendrzy czy Skandynawowie ze sporym powodzeniem.

Kwestia odporności

Niestety, w polskich realiach, z naszą powszechną niechęcią do kapowania z jednej strony, a z drugiej ze skłonnością niektórych do nadużywania owego narzędzia w celach partykularnych, trudno uwierzyć w efektywność takiej

Europol dostrzega „hybrydyzację ideologii" oraz coraz mocniejsze zaznaczenie się państwowego sponsoringu

eprasa.pl 6757e36917

metody. Prędzej można obstawiać, że zostanie stworzona angażująca znaczne siły i środki biurokratyczna fasada – może niezła w sprawozdawczości i tworzeniu pozorów rozwiązania problemu, niewątpliwie przy tym kontrowersyjna politycznie i sama z siebie dodatkowo polaryzująca, ale łatwo przegapiająca rzeczywistych terrorystów in spe. Próbować pewnie i tak warto, ale ze świadomością sygnalizowanych mielizn.

Pozostają nam wobec tego jeszcze inne rzeczy. Lepsza ochrona fizyczna newralgicznych miejsc, lepsze szkolenie i wyekwipowanie policjantów pełniących służbę na ulicach – to raczej oczywiste. Postulowane już zaostrzenie przepisów o dostępie do broni – tylko częściowo. Nawet nie dlatego, że cywilny „dobry człowiek z bronią, powstrzymujący tego złego z bronią" jednak niekiedy ma sens (statystycznie dość rzadko, w dodatku tylko pod warunkiem stosownego zmodyfikowania obecnych systemów szkolenia oraz przepisów i obyczajów noszenia broni, co wydaje się mało realne). Bardziej dlatego, że upowszechnienie kultury obchodzenia się z bronią ma znaczenie dla całokształtu polityki obronnej państwa, po prostu zwalnia wojsko i inne instytucje z obowiązku kształcenia swoich adeptów od zera. Poza tym nawet całkowite wyeliminowanie broni palnej z rąk osób cywilnych (co jest przecież fikcją) nie gwarantowałoby bezpieczeństwa – co najwyżej zaspokoiło czyjeś ideologiczne uprzedzenia. Poza pistoletem i karabinem jest bowiem zbyt wiele innych narzędzi siania zniszczenia i zamętu, od noża i siekiery po samochód, samolot i komputer.

I na koniec bodaj najważniejsze – otóż gdy celem terrorysty są chaos i panika, kluczowe się staje ograniczenie obu negatywnych zjawisk już po zamachu. Dowiodło tego choćby doświadczenie wspomnianych zamachów w Madrycie oraz nieco późniejszych w Londynie i innych miastach brytyjskich. W drugim przypadku dzięki sprawnej akcji ratowniczej i właściwym postawom społeczeństwa terroryści nie odnieśli spodziewanego sukcesu. A na podmiot wykazujący dużą odporność po prostu nie ma sensu napadać po raz kolejny w ten sam sposób.

Nie zaniedbujmy więc ani doskonalenia służb ratunkowych, ani szerokiej akcji edukacyjnej pozwalających minimalizować skutki kolejnych, możliwych zamachów. W ten sposób jednocześnie zminimalizujemy prawdopodobieństwo ich zaistnienia. A przy tym – starajmy się w miarę normalnie żyć. Mimo świadomości, że prędzej czy później pewnie i tak czeka nas kolejny cios. ©℗



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold
Sokała

wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący rady i analityk Fundacji Po.Int, publicysta DGP

Łańcuszek dezinformacji

W narracji Kremla zamach był następstwem kryzysu politycznego w Polsce, a sprawca ukraińskim najemnikiem. Najpierw rozpowszechniały ją konta w polskim internecie, a następnie została ona wzmocniona przez rosyjskie kanały na Telegramie

Z Marcinem

Ficem

rozmawia Karolina Wójcicka

W jaki sposób Rosja wykorzystuje tragedię w Krakowie w swoich działaniach dezinformacyjnych?

Dezinformacja rozprzestrzeniała się bardzo szybko, m.in. dlatego że w sobotę mieliśmy do czynienia z silnymi emocjami, niepewnością i luką informacyjną. Co więcej, w przestrzeni internetowej świadkowie publikowali nagrania z obrazami tragicznych wydarzeń. W takich sytuacjach rosyjski aparat propagandowy wykorzystuje okazję: powiela treści, które pojawiają się w naszej infosferze, a jednocześnie tworzy własne przekazy. W ostatnich dniach wyróżniliśmy dwa główne wątki. Po pierwsze, były próby łączenia sprawcy z Ukrainą. W tym celu wykorzystywano zarówno konta trolli, jak i rosyjskie media. Po drugie, starano się wykazać słabość państwa polskiego i jego służb, wiążąc to ze sporem politycznym w kraju.

Jak działa rosyjski aparat propagandowy?

Po tym, jak pojawiły się pierwsze nagrania z miejsca zatrzymania napastnika, zaczęła się rozpowszechniać narracja, że widoczna na jego wyposażeniu naszywka przedstawia piracką flagę, która łączy go z amerykańskimi najemnikami walczącymi w Ukrainie. Chodziło o Forward Observations Group, firmę zajmującą się szkoleniami z zakresu bezpieczeństwa i taktyki oraz sprzedażą sprzętu. Jest ona często oskarżana o czynny udział w konfliktach zbrojnych. Narrację tę najpierw rozpowszechniały konta w polskiej przestrzeni informacyjnej, a następnie została ona wzmocniona przez rosyjskie kanały na Telegramie i rosyjskie media, np. dziennik „Moskiewski Komsomolec", które dostrzegły możliwość użycia jej do własnych celów propagandowych. W rzeczywistości naszywka przedstawiała flagę Czarnobrodego, pirata żyjącego na przełomie XVII i XVIII w. Od lat noszą ją członkowie różnych oddziałów specjalnych. Firma Forward Observations Group wykorzystuje zmodyfikowaną wersję tego emblematu, inną niż ta widoczna na plecaku sprawcy.

Czyli sami dajemy się rozgrywać Rosjanom?

Trochę tak. Należy pamiętać, że odpowiedzialność za nasze bezpieczeństwo spoczywa nie tylko na służbach czy przedstawicielach władzy, lecz także na nas, obywatelach. To, w jaki sposób reagujemy na różne doniesienia, szczególnie w sytuacjach tragicznych lub nagłych, ma duże znaczenie dla ograniczania rozprzestrzeniania się fałszywych informacji. Przede wszystkim warto sięgać do wiarygodnych źródeł informacji i oficjalnych komunikatów. Jeśli jakaś wiadomość wywołuje w nas strach lub lęk, najlepiej wstrzymać się z jej dalszym rozpowszechnianiem i poczekać, aż zostanie zweryfikowana.

Jaki cel mogło mieć tak szybkie podchwycenie tej tragedii przez Rosję?

Wiemy, że cele Kremla od lat pozostają niezmienne. Tym podstawowym jest zniechęcanie Polaków do pomagania Ukrainie, pogłębianie podziałów między nami a Ukraińcami mieszkającymi w Polsce, a także osłabianie naszych relacji z sojusznikami i podważanie zaufania społeczeństwa do państwa. Warto tu wskazać drugi wątek tematyczny, który również zidentyfikowaliśmy. Wykorzystując tę tragiczną sytuację, insynuowano np., że była ona następstwem kryzysu politycznego, również tego, który rozgrywał się w Krakowie. Pojawiały się sugestie, że w mieście nie było wystarczającej liczby funkcjonariuszy policji, ponieważ zostali oni wysłani do Warszawy. Kryzys instytucjonalny przedstawiano więc jako możliwe wyjaśnienie samego aktu przemocy, mimo że nie było żadnych dowodów łączących motywy sprawcy ze sporem o Trybunał Konstytucyjny. W rosyjskiej wersji tej narracji pojawił się również wątek sugerujący zagraniczną ingerencję. Zestawiano wydarzenia wokół Trybunału Konstytucyjnego z tym, co się działo podczas ukraińskiego Majdanu. W tym kontekście przywoływano także zamach w Krakowie.

Jesteśmy w stanie zbadać, czy te przekazy trafiają na podatny grunt? Czy wiemy, że Polacy się na nie nabierają?

Trudno udowodnić bezpośredni związek przyczynowo-skutkowy. Obserwujemy np. spadek zaufania Polaków do Ukrainy czy mniejszą chęć niesienia jej pomocy, ale nie jesteśmy w stanie jednoznacznie powiązać tych zjawisk z konkretnymi działaniami dezinformacyjnymi. Możemy wskazywać na korelacje. W dyskusjach czasami pojawiają się sugestie, żeby zwrócić uwagę na liczbę wyświetleń, polubień czy udostępnień. Problem polega na tym, że nie wiemy, jaka część tego ruchu w internecie jest autentyczna. Do szerzenia dezinformacji wykorzystuje się farmy trolli i zorganizowane sieci kont.

Warto przy tym wspomnieć o operacji rosyjskich botów znanej pod nazwą „Matrioszka", którą starają się monitorować i analizować zachodnie służby, a także takie podmioty jak Demagog. Matrioszka polega na tworzeniu, szczególnie z wykorzystaniem sztucznej inteligencji, fałszywych przekazów udających materiały znanych redakcji zarówno zachodnich, jak i polskich: CNN, Euronews czy Deutsche Welle. W ten sposób tworzy się łańcuszek dezinformacji. Głównym celem rozpowszechniania takich treści jest dalsze pogłębianie podziałów między Kijowem a jego sojusznikami. Dlatego sprawcę zamachu łączono z Ukrainą, przekonywano, że był najemnikiem, pracował dla ukraińskiej Służby Bezpieczeństwa albo kupił broń od Ukraińców. Kiedy użytkownik natrafiał na taki przekaz, widział logo rozpoznawalnej, uznanej redakcji, co mogło go uwiarygadniać. Tymczasem było to zwykłe podszywanie się pod media. Żadna z tych redakcji nigdy nie opublikowała takich treści.

Co wiemy o funkcjonowaniu tego całego ekosystemu? W jaki sposób są organizowane operacje takie jak „Matrioszka"? Czy stoją za nimi bezpośrednio rosyjskie władze, czy ich przeprowadzanie zleca się zewnętrznym firmom?

Od początku rosyjskiej inwazji na pełną skalę obserwujemy różne działania rosyjskiej dezinformacji w mediach społecznościowych. Jesteśmy w stanie identyfikować i opisywać powtarzające się schematy, a następnie, na podstawie podobieństw, wskazywać, że konkretne wydarzenie lub działanie może być powiązane z określoną siecią kont. Wiemy również sporo o funkcjonowaniu rosyjskiej Agencji Projektowania Społecznego (Social Design Agency), na którą sankcję nałożyły m.in. Unia Europejska i Stany Zjednoczone. W konsekwencji ataku hakerskiego doszło bowiem do wycieku informacji. To agencja PR, która na zlecenie Kremla przygotowuje operacje wpływu wymierzone w zachodnie społeczeństwa.

Na czym polega jej mechanizm działania?

Agencja wykorzystuje przede wszystkim sztuczną inteligencję ▷

eprasa.pl 6757e36917



FOT. JAKUB PORZYCKI/REUTERS/FORUM

do zalewania przestrzeni cyfrowej przekazami zgodnymi z celami Kremla. Wiemy również, że organizuje prowokacje w świecie rzeczywistym. Szczególnie dużo takich przypadków odnotowano we Francji. W ramach prowokacji przed dziewięcioma meczetami w centrum Paryża i na okolicznych przedmieściach podłożono świńskie głowy. Dzięki wyciekowi danych wiemy, że za tą operacją stali Rosjanie. Wśród ujawnionych plików znalazła się też instrukcja dla osoby odpowiedzialnej za rynek polski, obejmująca polecenia dotyczące np. pisania komentarzy publikowanych później w naszej cyberprzestrzeni.

Jak wyglądają instrukcje dla polskiego rynku?

Kładą nacisk na kwestie związane z relacjami Polaków i Ukraińców. Sugerują, że wsparcie udzielane Ukrainie pogarsza naszą sytuację gospodarczą i sprawia, że Polakom żyje się gorzej. Jak już wspominałem, rosyjskie operacje dezinformacyjne często wykorzystują prawdziwe wydarzenia albo odwołują się do sytuacji, które sami możemy znać i które rzeczywiście mają miejsce. Mam tu na myśli choćby wypowiedzi części polityków o tym, że nie powinniśmy już pomagać Ukrainie. Rosyjska propaganda przechwytuje takie wątki, powiela je i na różne sposoby wzmacnia.

Jesteśmy zalewani w internecie wpisami publikowanymi przez boty. Czy nie prowadzi to do stopniowego wypierania treści prawdziwych użytkowników? Czy ludzie nie rezygnują z komentowania, skoro mają poczucie, że dominują boty?

Pytanie, czy jesteśmy w ogóle świadomi tego, kiedy mamy do czynienia z botami, a kiedy z prawdziwymi użytkownikami. To bardziej skomplikowana kwestia. Powinniśmy pamiętać, że przestrzeń cyfrowa nie odzwierciedla rzeczywistości. Jest również polem walki między różnymi ośrodkami wpływu, w tym kremlowskimi podmiotami a nami. Organizacje takie jak nasza starają się analizować tego rodzaju wydarzenia i operacje, monitorować je, a także w miarę możliwości im przeciwdziałać.

Spotkałam się z opiniami, że rosyjska dezinformacja i propaganda w Polsce są dość niskiej jakości i łatwo je rozpoznać. Czy nadal tak jest, czy może operacje wpływu stają się coraz bardziej wyrafinowane i skuteczne?

Moim zdaniem rosyjska propaganda bardzo dobrze odczytuje nastroje Polaków. Jak już podkreślałem, wykorzystuje prawdziwe problemy i zjawiska społeczne. Dziś potrafi robić to naprawdę przekonująco, posługując się również, szczególnie ostatnio, sztuczną inteligencją. Oczywiście wiele zależy od tego, jak reagujemy na informacje, z którymi się stykamy, i na ile jesteśmy świadomi, że jesteśmy celem takich działań. Jeśli ktoś daje się ponieść emocjom, nie weryfikuje treści i korzysta z mediów społecznościowych jako głównego źródła informacji, może po prostu zostać wprowadzony w błąd.

Chciałbym, żeby nasi czytelnicy zastanawiali się, jaki jest cel przekazu, z którym mają do czynienia, kto za nim stoi i dlaczego go formułuje.

W kontekście Rosji warto też pamiętać, że państwo to od kilkuset lat próbuje wywierać wpływ na Polskę. Dlaczego miałoby zrezygnować z tego właśnie teraz?

Czy polska klasa polityczna zdała egzamin z reakcji na zamach w Krakowie? Mam na myśli nie tylko działania służb, lecz także sposób, w jaki politycy mierzyli się z dezinformacją, reagowali na fałszywe narracje i informowali społeczeństwo o tym, co rzeczywiście wiadomo o tragedii.

W pierwszej kolejności należy zwrócić uwagę na służby. Komendy policji krakowska i wojewódzka reagowały bardzo dobrze, przekazując społeczeństwu rzetelne informacje i na bieżąco wyjaśniając, jak wygląda sytuacja. Na tym poziomie państwo zdało egzamin. Natomiast politycy, jak wiadomo, rozpoczęli dyskusję, którą prawdopodobnie chcieli wykorzystać do zwiększenia swoich wpływów. Mam na myśli przede wszystkim debaty o motywach sprawcy. Jestem przekonany, że jako państwo możemy zrobić znacznie więcej w zakresie zwalczania dezinformacji. My jako stowarzyszenie Demagog rozpoczęliśmy niedawno kampanię „Oni już tu są", w której zwracamy uwagę na to, że rosyjskie konta i podmioty prowadzące takie działania są już obecne na platformach, takich jak TikTok, Facebook czy X. Posługują się językiem polskim i publikują treści skierowane do polskich użytkowników.

W ten sposób Rosja rozpoczęła przygotowania do własnej kampanii przed wyborami w Polsce, na którą nie jesteśmy do końca przygotowani. Sformułowaliśmy w związku z tym cztery główne postulaty mające na celu zabezpieczenie wyborów. Obejmują one przede wszystkim zmiany w kodeksie wyborczym, które zapewniłyby przejrzystość działań prowadzonych w trakcie kampanii również przez podmioty trzecie. Postulujemy także powołanie grupy roboczej, która opracowałaby plan ochrony wyborów, przyjęcie jasnej procedury reagowania w trakcie kampanii oraz egzekwowanie obowiązków platform internetowych wynikających z prawa unijnego. ©℗



FOT. MAT. PRASOWE

Marcin

Fic

analityk Demagoga. Weryfikuje wypowiedzi polityków i monitoruje dezinformację na TikToku

eprasa.pl 6757e36917



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zalewani fałszywkami

Patryk Grażewicz

Sobotnia tragedia w Krakowie była jednym z najbardziej szokujących wydarzeń w ostatnich latach w Polsce. Nic w tym dziwnego, że miliony osób w kraju śledziły rozwój sytuacji i emocjonowały się każdą nową informacją. Internet został zalany plotkami, spekulacjami, przekręconymi faktami oraz szybko przeistoczył się w miejsce politycznej walki. Niektórzy cynicznie wykorzystali sytuację do szerzenia dezinformacji, inni wzięli udział w szaleńczej medialnej pogoni za niezweryfikowanymi newsami, przyczyniając się do jeszcze większego chaosu. W tym wszystkim nie zabrakło macek rosyjskiej propagandy.

Czy to Ukrainiec? Ja tylko zadaję pytania

Od czasu wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie po każdej większej tragedii w Polsce pojawiają się w internecie pozornie niewinne pytania o narodowość sprawcy. Tak było w przypadku mordercy 25-letniej Lizy Doriana S., jak również w sprawie zabójstwa Macieja H. na Nowym Świecie w Warszawie. Tak też było podczas ostatniej soboty. Jeśli sprawca okazuje się jednak nie być Ukraińcem, zaczyna się narracja o Ukraińcu z polskim obywatelstwem, później o Polaku pochodzenia ukraińskiego z któregoś pokolenia. Niekiedy mamy do czynienia z rosyjską kampanią dezinformacyjną prowadzoną za pomocą farm botów, ale naiwnością byłoby przypisywanie wszystkich komentarzy powielających tę narrację obcym wpływom.

Charakter sobotniego ataku przypominał niektórym akty terroryzmu islamskiego znane z krajów zachodu, chociażby atak terrorystyczny w klubie Bataclan w Paryżu 13 listopada 2015 r. Połączenie tego ze wzmożoną prawicową nieufnością wobec niebiałych imigrantów skutkuje wpisami takimi jak ten autorstwa Tomasza Sommera, redaktora naczelnego czasopisma „Najwyższy Czas!", który zasugerował, że winna jest polityka migracyjna UE, pisząc: „Unia Europejska, otwarte granice i mamy efekty". Robert Bąkiewicz z kolei tylko zadaje pytania: „Czy wiemy, jakiej narodowości był sprawca?". I tak jak transparentność w przebiegu śledztwa jest istotna, tak rzucanie takich sugestii lub pytań w momencie, w którym służby same jeszcze ustalają fakty, tylko wzmaga skrajne emocje.

Magiczna AI

Internet szybko obiegły również dramatyczne nagrania przedstawiające brutalne sceny w Krakowie, w tym jedno viralowe, w którym st. post. Jakub Kulik i st. post. Artur Morański bohatersko powstrzymują uzbrojonego napastnika przed dalszym atakiem. Większość materiałów video była niskiej jakości, często wielokrotnie przetworzonych, do tego nagrywanych z dalekiej odległości.

Wielu internautów było zaciekawionych niewyraźnymi elementami oraz emblematami widocznymi na ubraniu sprawcy. Zaczęto więc wykorzystywać LLM do poprawiania jakości i upscalingu. Należy jednak zauważyć, że AI niejako zgaduje, jakie są te niewyraźne elementy i tworzy fikcyjny obraz. Na skutek tego po internecie szybko rozeszła się teoria spiskowa sugerująca, że sprawca ataku ma na sobie dwie różne koszulki, bo zestawiono dwa wygenerowane na podstawie nagrań obrazki. Podobnie stało się parę miesięcy temu, kiedy próbowano stworzyć portret sprawcy brutalnego pobicia przy Złotych Tarasach w Warszawie na podstawie niewyraźnego filmiku.

Czasem bywa to stosunkowo niewinne, jak wygenerowane zdjęcie podane dalej m.in. przez posła Bartłomieja Pejo, na którym AI dodała dodatkowy palec napastnikowi. W tym konkretnym przypadku nie jest to coś, co mogłoby mieć wpływ na interpretacje zdarzeń, tak jak niedawny stworzony za pomocą sztucznej inteligencji obrazek przedstawiający prezydenta Karola Nawrockiego przepychającego się z sędzią Anną Korwin-Piotrowską, podany dalej przez kilku polityków koalicji. Sytuacja została uwieczniona na prawdziwym nagraniu, ale podrasowana przez AI, co słusznie budzi wiele kontrowersji.

Wojna polsko-polska i zaufanie do instytucji publicznych

Zainteresowanie społeczne nakłada presję na działania policji, rządu, ale również mediów. A te ostatnie często stoją przed dylematem, czy przekazać informacje z niepewnego źródła, które nie zawsze musi być rzetelne. Policja również się z tym boryka, szczególnie w sytuacjach, w których wymagana jest szybka komunikacja. Komenda Miejska Policji w Krakowie informowała, że poszukiwany jest drugi sprawca, co zostało szybko zdementowane przez Komendę Wojewódzką Policji w Krakowie. Informacja ta jednak zdążyła okrążyć wszystkie większe media w Polsce.

Cała sprawa została również wciągnięta do politycznej wojny polsko-polskiej. Politycy, komentatorzy oraz dziennikarze związani z prawicowymi partiami opozycyjnymi bardzo szybko zaczęli atakować czas reakcji służb, sugerując, że wielu krakowskich policjantów zostało wysłanych do ochrony Trybunału Konstytucyjnego w Warszawie. Na podstawie dostępnych danych można stwierdzić, że reakcja policji była wręcz błyskawiczna, a heroiczna postawa dwójki policjantów uratowała wiele żyć.

Kontrowersyjna okazała się również wypowiedź ministra MSWiA Marcina Kierwińskiego, dotycząca rzekomych skrajnie prawicowych poglądów sprawcy ataku, które miały być jego inspiracją. Do czasu publikacji tego tekstu nie przedstawiono żadnych mocnych dowodów na tę tezę.

Edgelordzi, trolle i cenzopapy

Słowa Kierwińskiego przebiły się do mediów międzynarodowych. Nagłówki o ataku skrajnie prawicowego ekstremisty obiegły świat, zanim śledczy w ogóle weszli do mieszkania sprawcy. Spotkało się to z falą zwrotną misinformacji oraz dezinformacji ze strony międzynarodowej prawicy, która uczyniła ze sprawcy progresywnego komunistę tylko na podstawie jego sarkastycznych komentarzy i braku znajomości polskiej kultury internetowej, interpretując np. cenzopapę (żart z papieża Jana Pawła II) jako poważny dowód. Natomiast rosyjskie konta próbowały wykazać antyrosyjskie poglądy sprawcy na podstawie popularnej naszywki Czarnobrodego, którą miał mieć na ubraniu.

MEDIA PRZECIW DEZINFORMACJI

Jednocześnie, jedna z discordowych skrajnie prawicowych grupek ogłosiła na X, że napastnik był ich współzałożycielem i aktywnym użytkownikiem. Tylko tyle wystarczyło, aby niektórzy komentatorzy uznali to za prawdę. Szybkie śledztwo kilku internautów wykazało, że rzekome konto napastnika jest wciąż aktywne, a autor pochodzący z zagranicy wydał oświadczenie, że nie ma nic wspólnego ze sprawą. W kontekście tej sprawy coraz częściej mówi się o nihilistycznym przemocowym ekstremizmie (NVE). Sytuacja jest o tyle zniuansowana, że napastnik był edgelordem, mocno zakorzenionym w skrajnej kulturze internetowej, gdzie dominują sarkazm i trolling. Próba zrozumienia tego świata i jego podejścia do symboli oraz polityki jest utrudniona dla osób, które nie miały z nią styczności.

Dlaczego to sobie robimy?

W przeciągu paru dni powstały również bardziej skomplikowane teorie konspiracyjne, jak ta, wedle której polskie służby zamordowały rodzinę napastnika, a następnie jego samego w szpitalu, aby uciszyć świadków. Atak miał być też powodem do przepchnięcia ustawy 3003, a nawet zakazania Marszu Niepodległości, co sugerowała m.in. posłanka Konfederacji Ewa Zajączkowska.

Śmierć sprawcy ataku pozostawi prawdopodobnie wiele pytań bez odpowiedzi, co tworzy jeszcze większą przestrzeń na wysuwanie poważnych wniosków na podstawie niepewnych informacji wynikających z chaosu.

Fałszywe informacje działają na ludzi wszędzie w podobny sposób, bo wszyscy wpadamy w te same pułapki myślenia. Samo spojrzenie na listę zidentyfikowanych przez naukowców i psychologów błędów poznawczych może być przytłaczające. A jeśli dodać do tego szybkość i reaktywność współczesnego internetu, a w szczególności platform algorytmicznych (tzw. mediów społecznościowych), staje się to przerażającą kombinacją. Nakręceni skrajnymi emocjami, chcemy szybkich i prostych odpowiedzi. A pierwsze fałszywe wiadomości docierają do nas, zanim jeszcze śledczy pojawią się fizycznie na miejscu zdarzenia. W dobie coraz powszechniejszego użycia AI i upadku zaufania do instytucji publicznych nie ma na to niestety prostego rozwiązania. Toniemy zalewani informacjami i potrzebujemy higieny cyfrowej, żeby stawić temu czoła. A może i powinniśmy zacząć więcej wymagać od polityków, platform algorytmicznych i dziennikarzy. ©℗

Autor jest analitykiem OSINT, fact-checkerem i śledczym.
Należy do polskiego stowarzyszenia fact-checkingowego Pravda

eprasa.pl 6757e36917



FOT. JAKUB WŁODEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

Nowy niebezpieczny trend

Wiemy, że nihilistyczny przemocowy ekstremizm (NVE) staje się coraz popularniejszy wśród młodych. A ekonomia uwagi normalizuje ekstrema

Z Adamem

Lankfordem

rozmawia Eliza Sarnacka-Mahoney

Jesteśmy w szoku po strzelaninie w Krakowie. Dla nas to tragiczna nowość, w USA – tragiczna niemal codzienność. Gdy słyszy pan o masowych strzelaninach w innych częściach świata, to jaka jest pana pierwsza reakcja?

Cóż... Najczęściej to pytanie: kto tym razem skopiował naszą specjalność? Strasznie przykro mi to mówić, bo dotyczy to mojego kraju, ale to my, Amerykanie, daliśmy światu masowe strzelaniny. Tak jak eksportujemy popkulturę, osiągnięcia naukowe czy technologie, tak, niestety, strzelaniny, w których giną przypadkowi ludzie. Gdy taki koszmar wydarza się po raz pierwszy, jak teraz w Polsce, potrzeba zrozumienia, dlaczego do tego doszło, staje się paląca. Bardzo wam współczuję, rozumiem szok i przerażenie, ale odpowiedź na pytanie: dlaczego?, jest taka sama, jak w przypadku innych tego typu tragedii.

A więc widzi pan schemat? Co dokładnie?

Wspólnym mianownikiem jest osobowość zamachowca – to człowiek, do którego przemawia koncept zbrodni popełnionej właśnie w taki sposób. I druga rzecz: to, do jakiego stopnia działanie sprawcy jest zachowaniem wyuczonym. Dokładnie: na ile przebieg ataku jest zgodny z tym, co widział gdzie indziej. Żyjemy w czasach, gdy informacja nie znika, wszystko jest w zasięgu ręki, zamachowcy mają źródła, z których się uczą, jak postępować.

Uczą się? Z internetu?

Między innymi. Zasadniczo z mediów w szerokim rozumieniu. Tam mają wzorce i jest ich dzisiaj naprawdę bardzo dużo. Co nie mniej ważne – tam znajdują informacje na temat innych zamachowców, z którymi mogą się identyfikować. W ich działaniach mogą znaleźć odbicie własnych uczuć, mogą znaleźć odpowiedź na pytania, dlaczego tak się czują i co mają z tym zrobić. Złość, pożądanie czy chęć odwetu to uniwersalne uczucia, które nie znają granic. Opisywaliśmy to w raporcie „The globalization of American mass shootings? An assessment of fame-seeking perpetrators and their influence worldwide". W tych badaniach przyglądaliśmy się jeszcze jednej, kluczowej sprawie: roli, jaką odgrywa dla zamachowca chęć zwrócenia na siebie uwagi. W pewnym sensie zdobycia sławy. Wygląda na to, że jest to czynnik coraz bardziej zyskujący na znaczeniu. Sława i uwaga zdobywana w mediach społecznościowych to dzisiaj produkt, którego się pragnie. Słyszała pani o strzelaninie z Christchurch w Nowej Zelandii?

Chodzi o zamachy z 2019 r. na dwa meczety.

To były pierwsze strzelaniny, z których zamachowiec, biały suprematysta, zrobił transmisję na żywo. Bezspornie zdobył rozgłos, bo miał potem wielu naśladowców usiłujących przeprowadzić ataki w ten sam sposób.

Na razie nie mamy dowodów na to, że sprawca tragedii z Krakowa był prawicowym radykałem. Eksperci sugerują, że możemy mieć do czynienia z przypadkiem NVE (Nihilistic Violent Extremism, nihilistyczny przemocowy ekstremizm), czyli po prostu nihilistą i mizantropem zafascynowanym samym aktem zabijania.

Ten nowy trend jest bardzo niebezpieczny – wiemy, że staje się coraz popularniejszy wśród młodych. Zwróciliśmy na niego uwagę już kilka lat temu; Christopher Wray, szef FBI za prezydenta Joego Bidena składał w tej sprawie zeznania przed Kongresem już w 2020 r. Z punktu widzenia psychologii mordercy nie zmienia to jednak aż tak wiele. Brałem udział w badaniach na temat ideologicznej radykalizacji sprawców masowych strzelanin i to, co się rzuca w oczy, gdy już stworzymy profil, to jednak zacieranie się granic między ideologią a indywidualnymi motywami do popełnienia zbrodni. Często mamy wręcz do czynienia z pomieszaniem ideologii oraz wyraźnym brakiem logiki. Spójne pozostaje tylko zafascynowanie przemocą i traktowanie jej jako szansy na ściągnięcie na siebie uwagi. Dla mnie to także smutne znamię naszych czasów. Jeszcze jeden wyznacznik współczesnego kapitalizmu.

Kapitalizm kreuje masowych morderców?

Sposób, w jaki kapitalizm funkcjonuje w internecie, to dążenie do jak największej personalizacji naszych doświadczeń, prawda? Algorytmy podsuwają nam tę muzykę, której słuchaliśmy wcześniej, zakładając, że trafią w nasz gust. Nie trzeba kupować całego albumu jakiegoś twórcy, ma się podstawione pod nos utwory wielu różnych artystów, które łączy to, że mają odpowiadać naszym preferencjom. Internet to samo robi ze skrajnymi ideologiami. Podsuwa nam je. Widzimy te profile o różnym stopniu radykalizacji; np. obserwujemy wielu białych suprematystów, którzy w manifestach mówią: w zasadzie to nie mam problemu z osobami LGBTQ. Pod tym względem nie pasują do szablonu, ale to nadal ekstremiści. Swoją drogą – podobno ktoś z rodziny zamachowca z Krakowa mógł być osobą LGBT?

W sieci krążą takie informacje, W internecie pojawiło się też zdjęcie sprawcy z tęczową flagą.

No tak, ale to wciąż może nic nie oznaczać. Wiemy, że pokolenie wychowane w sieci wykorzystuje kulturowe i religijne symbole niezgodnie z ich przeznaczeniem. Może to robić dla hecy albo do trollingu. Żeby z tych symboli zadrwić albo specjalnie zająć fałszywe stanowiska, by celowo wprowadzić w błąd. Wszystko może być materiałem i narzędziem. Także do samoobrony. Mieliśmy napastnika z Kolorado, który w 2022 r. zamordował kilka osób w klubie dla gejów, a potem twierdził, że jest osobą transpłciową. Takie stanowisko przyjęła również jego obrona, bo wtedy nie byłby sądzony za przestępstwo z nienawiści. Ale śledztwo ostatecznie wykazało, że był prawicowym radykałem.

Przed atakami na ulicach Krakowa zamachowiec zabił rodzinę w miejscowości oddalonej o 200 km. Czy wiemy coś więcej o mordercach, którzy działają wedle takiego schematu?

Takie strzelaniny niemal zawsze są przemyślane i zaplanowane, mamy w nich silny element premedytacji. Sprawcy mają pełną świadomość tego, jaki czyn zamierzają popełnić. To z kolei oznacza, że zaangażowane są bardzo silne emocje, które się utrzymują: gniew i poczucie zagubienia. Ale i determinacja, żeby plan zrealizować. Towarzyszy temu myślenie: „Mój los i tak jest przesą-

eprasa.pl 6757e36917

dzony, w najlepszym wypadku czeka mnie dożywocie". W istocie więc jest to planowanie masowego morderstwa połączonego z samobójstwem. Taki zamachowiec nie zawsze ginie, bo nie zawsze mu się to udaje. Dowodem premedytacji jest to, że raczej nigdy nie ucieka.

Co powoduje – poza ekstremalną ideologią – narastanie w człowieku tak silnych negatywnych uczuć?

Bardzo często jest to nienawiść do samego siebie wynikająca z niezgody na coś albo z poczucia, że życie jest porażką. Tacy ludzie szukają czegoś, pod co mogliby te emocje podpiąć. Mamy tu ciekawe dla naukowców zderzenie między zbrodniami tego typu a tymi popełnianymi w afekcie. W afekcie ktoś traci nad sobą panowanie i morduje, bo w danej chwili przepełnia go wściekłość, której nie jest w stanie kontrolować. Ze względu na liczbę masowych strzelanin w USA przeprowadziliśmy dużo badań nad tym, czy masowi mordercy też w pewnej chwili pękają i nie są w stanie zapanować nad sobą. Niestety, tu wciąż nie mamy jednoznacznych konkluzji.

Ale wszyscy zgodzimy się z tym, że młodzi dorastają dziś w zupełnie innym świecie. Dużo bardziej dezorientującym, z zatartymi granicami między tym, co dobre, a co złe. Dzieci w zabawach nie chcą już być dobrym policjantem, w grach nagminnie wcielają się w napastników i morderców. Wydaje się, że zwłaszcza młodzi mężczyźni żyją w poczuciu chaosu wokół siebie. To wszystko musi odgrywać rolę?

Odgrywa, to cena, jaką płacimy za stworzenie modelu działania kapitalizmu w sieci. W świecie brutalnej walki o to, by wygrać w nowym rodzaju ekonomii: ekonomii uwagi. W mediach społecznościowych dominują influencerzy, którzy chwytają się wszystkich sposobów, by zaistnieć. To coraz bardziej normalizuje zachowania, które kiedyś były nie do pomyślenia. Robimy i akceptujemy coraz bardziej skandaliczne rzeczy, bo nie da się wygrać walki o uwagę, zachowując godność i przyzwoitość. Ta postawa rozlała się po kulturze, widzimy ją choćby w tradycyjnej branży filmu oraz rozrywki. Weźmy serial „Breaking Bad", bez dwóch zdań jeden z najlepszych w tym stuleciu. Bohaterem jest nauczyciel chemii, który zmienia się w dealera narkotyków. I ten wybór jest pokazywany jako cool, wokół niego wszystko się kręci. Życie młodych ludzi kręci się dzisiaj głównie w sieci, gdzie wszyscy wciąż testują kolejne pomysły na to, jak zwrócić na siebie uwagę.

Czy da się zapobiegać takim tragediom? Czy to w ogóle jeszcze możliwe?

Tak, ale trzeba działać w sposób skoordynowany. Przede wszystkim należy ograniczać w mediach ilość uwagi poświęcanej zamachowcom. To trudne, wiem, bo ludzie mają głód wiedzy, chcą zrozumieć. Ale wiemy, że to działa. Media powinny relacjonować szczegóły tego, co się wydarzyło, skupiać się na ofiarach, na ratownikach, lecz nie na zamachowcu. Nie należy wchodzić dogłębnie w jego historię, która potem wszędzie jest powielana. Należy też ograniczać, w miarę możliwości, obieg niepotrzebnych sensacji. Jeśli nie pokazuje się twarzy zamachowca, nie używa się jego nazwiska, to nie ma tej nagrody, na którą liczył. Doskonale znamy tę zależność z badań nad reklamą. Jest przyczyna, dla której korporacje wydają setki milionów na to, by w czasie przerwy podczas meczu o Super Bowl puszczono ich kilkusekundowy materiał. Im więcej ludzi go zobaczy, tym więcej nawiąże relację z pokazywanym produktem. Przeprowadziłem też badania, które wykazały, że w pierwszym miesiącu po zamachu wielu sprawców masowych strzelanin dostaje więcej uwagi niż niektórzy z najsłynniejszych aktorów świata. Podkreślę – więcej darmowej uwagi niż sam Tom Cruise.

A ustawodawstwo regulujące dostęp do broni palnej?

Wielu zamachowców jest zainteresowanych tylko bronią palną, bo, o czym mówiłem, ich wzór do naśladowania użył pistoletu czy karabinu. Jeśli nie mają do niej dostępu, to nie mogą być śmiercionośni – i mogą nawet w ogóle nie zdecydować się na atak. Dobre przepisy dotyczące posiadania broni to jednocześnie większa gwarancja, że jeśli ktoś wejdzie w jej posiadanie nielegalnie, to może zostać ujęty wcześniej, bo np. zostanie przyłapany na innym uczynku. I ostatnia rzecz: to oczywiście rozpoznawanie sygnałów ostrzegawczych. Bardzo ważna jest edukacja społeczna. Dobra wiadomość, jeśli chodzi o masowe strzelaniny i przemoc z premedytacją, jest taka, że takie sygnały najczęściej są. W zmienionym zachowaniu zamachowca, można je również zobaczyć w jego mediach społecznościowych. Monitoring ze strony władz i społeczeństwa – to się sprawdza.

Tragedia w Krakowie wydarzyła się w momencie, gdy Kancelaria Prezydenta Polski chce debaty nad pomysłem zliberalizowania prawa do posiadania broni. Czy pana zdaniem liberalizacja byłaby właściwą decyzją?

Ze swojej strony mogę tylko doradzić, byście bardzo uważnie przyjrzeli się wszystkim za i przeciw. Nasze badania pokazują, że liberalniejszy dostęp do broni przekłada się na wzrost jej użycia do różnych celów – i do morderstw, i do samobójstw. A związek z masowymi strzelaninami jest oczywisty. Będzie ich więcej. Jeśli tego typu tragedia już się wydarzyła, szanse na to, że będą następne, rosną. I to, niestety, znacząco. ©℗



FOT. BRYAN HESTER/UNIVERSITY OF ALABAMA/MAT. PRASOWE

Adam

Lankford

szef Wydziału Kryminologii i Kryminalistyki na Uniwersytecie Alabamy

Kraj

Będzie baza. Postawiliśmy kropkę nad i

Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia możemy się spodziewać podpisu Donalda Trumpa, który uruchomi tworzenie stałej bazy wojsk USA w Polsce

Z Magdaleną

Sobkowiak-Czarnecką

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Opłacało się lecieć do Waszyngtonu? Dłużej byliście w powietrzu niż na miejscu.

Opłacało się. Jeśli chodzi o stworzenie stałej bazy wojsk USA w Polsce, postawiliśmy właśnie kropkę nad i. Więc naprawdę było warto, choć cała operacja rzeczywiście trwała 28 godzin. Start z lotniska w Warszawie w nocy z poniedziałku na wtorek i powrót w środowy poranek 11 listopada. To spotkanie w Waszyngtonie było finałem tego, nad czym pracowaliśmy przez ostatnie miesiące.

Kiedy możemy się spodziewać podpisu Donalda Trumpa i pierwszych koparek na budowie?

Podpisu możemy się spodziewać przed świętami Bożego Narodzenia. Oczywiście, zawsze jest ryzyko, że coś się wywróci na ostatniej prostej, ale decyzja Pentagonu na tym najbardziej krytycznym poziomie – jako wynik przeglądu wojsk w Europie oraz rekomendacji, które trafiły na biurko prezydenta – zapadła. Załatwiliśmy to. Mogę z ręką na sercu i czystym sumieniem zameldować, że MON wykonało zadanie.

Gdzie będzie baza? Amerykanie sprawdzali kilka lokalizacji w zachodniej Polsce.

Zbliżamy się do decyzji o wskazaniu miejsca. Ale jest jeszcze za wcześnie, byśmy mogli to ogłosić publicznie.

A czy turbulencje po ostatnich wyborach w USA nie wpłyną na decyzję Białego Domu? Republikanie z kretesem przegrali wybory do Kongresu, coraz głośniej mówi się o impeachmencie szefa Pentagonu Pete'a Hegsetha, w którego gabinecie podpisywaliście kwity.

Hegseth nie wyglądał na kogoś, kto martwiłby się o swoją przyszłość.

Oni zawsze tak wyglądają.

Na razie wniosek o impeachment został wstrzymany. A zanim dojdzie do realnych zmian w Kongresie, też minie sporo czasu, przynajmniej 50 dni. Zaś decyzje w sprawie bazy zapadną w tym roku. I przede wszystkim – nie wyobrażam sobie, by demokraci byli przeciwni stałej bazie w Polsce. ▷

eprasa.pl 6757e36917

Nie muszą być przeciwni. Wystarczy, że zaczną wewnętrzne audyty, analizy, raporty – i sprawa zostanie odłożona na kolejne miesiące.

To tak nie działa. W procesie przygotowania decyzji o powstaniu bazy wszystkie etapy są zakończone. Wypełniliśmy odpowiednie wnioski i ankiety, rozpisaliśmy w szczegółach zobowiązania sojusznicze, raportując, jak są wypełniane i jak widzimy przyszłość wojsk amerykańskich u siebie. Nie zliczę godzin negocjacji, jakie odbyliśmy w ostatnich tygodniach – tych w Stanach Zjednoczonych i tych w Polsce, na żywo i przez telefon. Tego nie da się cofnąć, ot tak, pstrykając palcami. Ostatnie tygodnie to ponadstandardowa obecność Amerykanów i ichniejszej dyplomacji w naszym kraju: w zeszłym tygodniu byli u nas bliscy współpracownicy Hegsetha Michael Duffey i Elbridge Colby, kilka dni temu odbyło się spotkanie przedstawicieli 200 amerykańskich oraz polskich firm. To nie tylko uściski dłoni, lecz także bardzo wysoka kaloryczność tych spotkań.

Prasa branżowa, która lepiej czyta między wierszami, zwraca uwagę na to, byśmy mocno prześwietlili sygnał o pozyskaniu pocisków manewrujących Tomahawk wraz z wyrzutniami. O co chodzi?

To precyzyjna broń dalekiego zasięgu, a więc Amerykanie limitują dostęp do niej. Uzyskanie zgody na kupno i korzystanie z Tomahawków to wieloetapowa procedura. Złożyliśmy wniosek kilkanaście tygodni temu, na dniach powinien być pozytywnie rozpatrzony. To przełom, bo dotychczas podobną zgodę otrzymali jedynie Niemcy. A przecież taka broń na polskim terytorium to nie tylko poprawa bezpieczeństwa, lecz też jasny sygnał dla Moskwy – że Amerykanie inwestują tu swój najlepszy sprzęt.

Mamy na to wszystko pieniądze? Dobrze się ogłasza kolejne sukcesy i podpisuje umowy, ale budżet trzeszczy.

Zawsze pozyskujemy ten sprzęt, który jest przewidziany przez Sztab Generalny; to wojskowi są pierwszym filtrem tego, o co się staramy. Co do finansowania bazy, to słyszałam pana wywiad z Andrzejem Domańskim – i gdy on mówi, że sobie z tym poradzimy, to po prostu tak będzie. Przypomnę, że to ten minister finansów, który zaplanował na przyszły rok ok. 200 mld zł na zbrojenia, więc nie jest nieprzychylny takim wydatkom. Od początku deklarowaliśmy w rozmowach z Amerykanami, że pokryjemy koszty po naszej stronie. One mogą się wydawać gigantyczne, bo jeśli chodzi o stałą bazę, to będzie kilkanaście miliardów złotych, ale cena bezpieczeństwa jest niemierzalna. A przy tym rozszerzamy bazę przemysłową: Polska będzie jedynym krajem poza USA, gdzie będą serwisowane pociski do wyrzutni Patriot, a to przecież jeden z najbardziej pożądanych dziś rodzajów uzbrojenia.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, wiceminister obrony narodowej

To ciekawe, że któryś z kolei raz pytam panią o bazy, a pani rozwija odpowiedź, wybiegając w przyszłość dotyczącą przemysłu, a nie samej infrastruktury.

Bo to od początku były negocjacje pakietowe, a przez to momentami bardzo trudne. Wykonujemy duży skok w relacjach polsko-amerykańskich. One przestają odbiegać od tych między Waszyngtonem a Berlinem, z którym zresztą wygraliśmy wyścig o lokalizację tego centrum serwisowania.

Na czym polega ten skok? Na każdej konferencji słyszę, że jeszcze nigdy relacje polsko-amerykańskie nie były tak dobre. Ale to retoryka obowiązkowa, a jak jest naprawdę?

Przechodzimy z roli modelowego sojusznika do strategicznego partnera.

Co to znaczy w praktyce?

Że przestajemy być tylko klientem. To widać zwłaszcza na poziomie przemysłu – nie dyskutujemy z Amerykanami jedynie o kupnie broni, lecz także o tym, byśmy na tej współpracy mogli sami zarobić, jak np. na centrum serwisowym. Ale to przecież też nie jest pierwszy krok, bo podobne centra budujemy, jeśli chodzi o czołgi Abrams, śmigłowce Apache, trwają rozmowy co do kolejnych rodzajów sprzętu; tych umów będzie więcej. Rozmawiamy o wielu takich projektach, bo chcemy się stać hubem dla amerykańskich firm zbrojeniowych, a przy tym zyskiwać dostęp do technologii i zabezpieczyć łańcuchy dostaw. Wojna w Ukrainie pokazała, że bardzo ważne jest to, jak silną masz armię i jaki masz dostępny sprzęt pierwszego dnia wojny, ale równie istotne jest to, czy jesteś w stanie utrzymać ten poziom przez kolejne tygodnie, miesiące, a może i lata od wybuchu konfliktu. Na umowach z Amerykanami nie tylko zarobimy, bo przecież sprzedamy część sprzętu na rynki trzecie, lecz także przy okazji utrzymamy tę zdolność na polskiej ziemi.

Wygląda na to, że przed nami jeszcze tylko rytualna wojenka o to, kto jest ojcem sukcesu, i możemy budować.

Cel rządu i Kancelarii Prezydenta RP był wspólny...

Więc teraz tylko awantura o to, jak nazwać bazę, kto ma przecinać wstęgę, a kto może nakręcić tam spot, bo mamy za chwilę kampanię wyborczą. Baza będzie powstawać w jej trakcie.

Szczerze: każdy wykonał swoją robotę. My jako wiceministrowie rozmawialiśmy z podsekretarzami Departamentu Wojny, szlifując zapisy dokumentów i wniosków, ministrowie Władysław Kosiniak-Kamysz i Pete Hegseth przenosili to na poziom wyżej, a prezydenci Donald Trump i Karol Nawrocki mają swój udział w dyskusji. Nie ma co wpisywać się w wyścig, który czasem Kancelaria Prezydenta RP chciałaby otworzyć: kto więcej dzwonił, kto więcej się spotkał, kto zrobił lepsze selfie. Dla mnie najważniejsze jest to, by baza powstała – nawet jeśli na koniec ktoś inny miałby przypiąć sobie za nią order. Wiem, co i ile tu zrobiliśmy. Ale też nie mam problemu z tym, by docenić rolę prezydenta – jak przy centrum serwisowania, gdy współpraca MON z pałacem była modelowa, choć oczywiście przygotowanie obszernego wniosku, biznesplanu, a później robocze rozmowy z Lockheed Martin były po stronie resortu. Amerykanie śmieją się czasem, że temat bazy i szeroko rozumianego bezpieczeństwa to chyba jedyny temat, który Polaków łączy, a nie dzieli.

Co z kwestią 5 tys. żołnierzy USA, których rotacja do Polski została kilka miesięcy temu wstrzymana?

Wszystko wskazuje na to, że deklaracja Trumpa się wypełni – i ostatecznie zwiększymy obecność wojsk o 5 tys., a baza stanie się faktem. W szczegółach będzie to wynikało z decyzji Pentagonu i prezydenta Trumpa. Konkrety będą wtedy, gdy zostanie oficjalnie ogłoszona decyzja o bazie. Szlifujemy to; mamy jasne deklaracje od Hegsetha – że Polska jest liderem NATO, strategicznym partnerem USA i że nikt w Waszyngtonie o Polsce nie zapomni. W porozumieniu, które Hegseth podpisał z Kosiniakiem-Kamyszem, czytamy o wzmocnieniu wschodniej flanki NATO. Ta historia skończy się dobrze, choć ta liczba 10 tys. wojsk sojuszniczych na naszym terytorium zmienia się przez cały czas: czasem in plus, innym razem in minus, bo to są rotacje, ćwiczenia, szkolenia, ale bądźmy dobrej myśli.

O czym się rozmawia w gabinecie Hegsetha? Przecież to nie jest moment dopinania szczegółów, bo te musieliście omówić wcześniej.

Spotkanie było merytoryczne, choć poprzedziły je godziny negocjacji. Amerykanie podczas rozmów z nami – ostatnio Hegseth też pytał o to sporo Kosiniaka-Kamysza – chcą wiedzieć, jak oceniamy rozwój sytuacji w Ukrainie, jakie mogą być następne kroki Moskwy. Waszyngton traktuje nas jako partnera, który ma największą wiedzę w temacie i może przekazać wiarygodne relacje i analizy.

Czy te relacje i analizy jakkolwiek są wykorzystywane? Bo – delikatnie mówiąc – nie zawsze widać to w deklaracjach i czynach strony amerykańskiej.

Nasza ogromna rola to przypominać i pokazywać Amerykanom, jak wygląda sytuacja w Ukrainie. Ich perspektywa jest inna, mają przynajmniej jeden dodatkowy teatr wojenny oprócz Ukrainy – Bliski Wschód, a dodatkowo muszą obserwować to, co się dzieje na Pacyfiku. Siłą rzeczy jesteśmy w czasie takich spotkań adwokatami tego, by ich uwaga pozostała przy zagrożeniu ze strony Moskwy. Nie tylko mówimy, lecz także staramy się to pokazać, jak ostatnio, gdy gościł w Polsce Michael Duffey, z którym wizytowaliśmy nie tylko fabrykę w Mielcu, ale też – mniej formalnie – lotnisko w Rzeszowie, skąd rusza do Ukrainy ponad 90 proc. transportów sprzętu. W Waszyngtonie podczas ostatniej wizyty rozmawialiśmy też dużo o zagrożeniu ze strony rosyjskiej dezinformacji. Jestem przekonana, że po takich rozmowach zrozumienie Amerykanów jest coraz większe. ©℗

Więcej tekstów tego autora Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 6757e36917

AUTOPROMOCJA

INFORLEX
KOMPLEKSOWA BAZA WIEDZY

Szybka odpowiedź
Sprawdzone źródła



Testuj bezpłatnie

INFORLEX z **Asystentem AI**✨

- Szybkie, precyzyjne i praktyczne odpowiedzi
- Odpowiedzi oparte na wiarygodnych źródłach INFORLEX
- Opieka merytoryczna ekspertów INFORLEX

inforlex.pl

eprasa.pl 6757e36917

Nie ogłoszę końca świata

Różnych ludzi na Zachodzie korci, by ustalić granicę stref wpływów na wschodniej granicy Polski. Takie myślenie to realizm dla początkujących

Z Pawłem

Kowalem

rozmawiają Daria Al Shehabi i Michał Potocki

Prezydent USA zasugerował, że finalizuje rozmowy o wielkiej umowie z Rosją, która miałaby dotyczyć nie tylko Ukrainy, lecz także całej Europy. Można się niepokoić?

Powinniśmy wzmocnić wysiłki – prezydent, rząd i parlament – żeby docierać do Amerykanów z przekazem, że takie porozumienie jest groźne dla ich i naszego interesu. Problem w tym, że nie wiemy do końca, co jest w tym hipotetycznym porozumieniu. Jeśli faktycznie miałoby ono polegać na tym, że amerykańskie firmy będą pośredniczyć w handlu rosyjskim gazem, może się to komuś wydawać taktycznie sprytne, ale długookresowo podniesie koszty. Ponieważ zapewni Władimirowi Putinowi dopływ gotówki, a Amerykanie będą ponosić większe wydatki. Ktoś szybko zarobi, ale Ameryka zapłaci więcej.

Spodziewa się pan wzmożonej aktywności Donalda Trumpa do zaprzysiężenia nowego Kongresu?

Porażka rządzących w wyborach połówkowych jest przewidywalna. Przydarzyło się to i Reaganowi, i Obamie. Prezydenci, którzy znajdą się w takiej sytuacji, stają się zwykle bardziej centrowi i zazwyczaj radzą sobie lepiej niż przed głosowaniem do Kongresu. Trump będzie szukał sposobów zaznaczenia swojej aktywności w sferach, które nie wymagają zgody Kongresu. Polityka zagraniczna do nich należy.

Gaz to jeden z elementów potencjalnego porozumienia, ale głównym żądaniem Rosji, wysuniętym jeszcze w grudniu 2021 r., przed inwazją na Ukrainę, jest wyrzucenie z państw wschodniej flanki NATO zachodnich żołnierzy i instalacji wojskowych.

Rozmawiamy przecież z Amerykanami o stałej bazie. Po stronie amerykańskiej z jednej strony mamy demokratów w Kongresie, koniecznych do uchwalenia ustawy okołobudżetowej uwzględniającej stałą bazę, a z drugiej strony prezydenta Trumpa, który już obiecał, że podpisze umowę, a bez jego politycznego „tak" projekt nie ruszy.

Czy podczas rozmów z republikanami odniósł pan wrażenie, że poziom ich entuzjazmu wobec stałej bazy w Polsce jest skorelowany z aktualnym, zmieniającym się w czasie podejściem Trumpa do Rosji?

W kwestii współpracy z Polską amerykańska polityka jest stała. Kluczowe elementy – baza, współpraca przemysłowa i kosmiczna, elementy symboliczne, jak nazwanie statku imieniem Kazimierza Pułaskiego – w ostatnim roku nie falowały. Przy każdej wizycie w Waszyngtonie słyszałem potwierdzenie woli USA. Ale stanowiska Jareda Kushnera i Steve'a Witkoffa oraz deklaracje prezydenta Trumpa dla prasy – te się zmieniają.

W rozmowach trójstronnych między Rosją, Stanami Zjednoczonymi a Ukrainą jesteśmy pomijani.

Rozmowy toczą się różnymi kanałami. Ich specyfika jest taka, że nie są prowadzone przez zawodowych dyplomatów. Uważam, że ten etap trwa już za długo, rozmowy winny już zostać nakierowane na kanały formalne, np. Departament Stanu. Obecne rozmowy to pomysł Kremla. Putin widzi się w kostiumie Stalina. Ale to marzenie ściętej głowy, bo Putin jest podporządkowany Chinom – i Pekin to wie. Do tego są Indie, UE i inni istotni gracze, którzy nie zaakceptują porozumienia, w którym Rosja udaje, że jest równie potężna jak USA i Chiny. Nawet jeśli ktoś znów rozłoży przed Putinem czerwony dywan, nie będę płakał i ogłaszał końca świata, bo będę wiedział, że to teatr. Putin chciałby się pokazać w swoim kraju jako nowy Stalin, który rysuje nową mapę świata.

Niedawne spotkanie Wołodymyra Zełenskiego w Oslo dołożyło nowy element w postaci późniejszej rozmowy prezydenta Finlandii i premiera Norwegii z Putinem.

Giorgia Meloni miała rację: to był błąd.

Tuż przed spotkaniem w Oslo w ukraińskich mediach pojawiła się informacja, że Polska będzie na nim reprezentowana. Tak się nie stało. To była od początku nieprawda czy ktoś nas z listy usunął?

Co tydzień ktoś gdzieś prowadzi negocjacje. Nie ma co się odnosić do każdej rozmowy. W jednych formatach bierzemy udział, w innych nie.

W których formatach bierzemy udział?

W tych, które są sformalizowane. Tam, gdzie są kluczowe dyskusje, np. dotyczące rozwoju broni rakietowej. Tam, gdzie występuje UE. Jesteśmy chyba we wszystkich formatach regionalnych z Europą Środkową i Północną. Nie ma nas w formatach z udziałem Chin, Rosji i USA, bo nie jesteśmy ani Chinami, ani Rosją.

Czy wisi nad tymi rozmowami duch Jałty?

Tak, ale ten duch Jałty polega na tym, że różnych ludzi na Zachodzie korci, by ustalić granicę stref wpływów na wschodniej granicy Polski. Niektórzy myślą, że to dobrze, skoro Polska tym razem będzie po tej właściwej stronie. Ale takie myślenie to realizm dla początkujących. Ukraina bez szans na UE i NATO to ogromne strukturalne zagrożenie w sensie strategicznym, także dla samych Ukraińców. Mówię to każdemu, z kim się spotykam. Odrzucone aspiracje Ukrainy, za które ich naród zapłacił krwią, to będzie Gruzja razy dziesięć. Apeluję: nie zostawiajcie powojennej Ukrainy poza Zachodem. Negocjujmy twardo wejście Ukrainy do Unii, nie jako nagrodę za to, że przetrwała wojnę, tylko w imię jej wejścia do naszego systemu prawnego. To jasne, że trzeba zadbać o interesy polskich rolników i transportowców, ale strategicznie pozostawienie poza strukturami zachodnimi Ukrainy z wielką armią weteranów, milionami sztuk broni w prywatnych rękach, zburzoną infrastrukturą i środowiskami nawiązującymi do nacjonalizmu będzie oznaczać pozostawienie Ukrainy na pastwę Rosjan, których gra niepóźniej niż w ciągu 10 lat przyniesie nam duże kłopoty. Oni umieją grać na rozczarowaniu czy nacjonalistycznych sentymentach i obrócić je przeciw Zachodowi.

Kijów zaczyna odstawać w procesie integracyjnym. W świeżej ocenie Komisji Europejskiej cele Ukrainy jako jedynego z realnych kandydatów określono mianem ambitnych – co w języku dyplomacji oznacza, że Kijów przesadza z optymizmem, kiedy deklaruje gotowość do akcesji w tej dekadzie.

Ważne, żeby dokonać jakiegokolwiek poszerzenia i pokazać, że Unia nie ustępuje Rosji, choćby chodziło nawet o jedno państwo bałkańskie.

Najpewniej o Czarnogórę.

Jestem za, Putin musi dostać taki sygnał, a Czarnogóra się przygotowała. Część Ukraińców uważa, że rozszerzenie to rodzaj reparacji za wojnę. Na coś takiego nikt w Europie nie pójdzie. Trzeba być realistą. W sprawie poszerzenia jedyną drogą są negocjacje akcesyjne, które wszyscy wcześniej prowadzili. Inni Ukraińcy sądzą, że to zwykłe rozmowy międzynarodowe. U nas też wiele osób tak uważało. Tymczasem nie negocjują ze sobą dwa równoprawne podmioty, tylko jeden ustala z innym warunki wejścia do jego systemu. To tak, jak byśmy rozmawiali o członkostwie w klubie tenisowym. Można wynegocjować zniżkę, dodatkowe zajęcia, ale nie można wynegocjować zasad ani zmiany lokalizacji klubu.

Negocjuje się tempo realizacji warunków, a nie same warunki.

Część ukraińskich kolegów jeszcze tego nie wie. Ale to nic strasznego, w Polsce też wielu ludzi przed 2004 r. nie rozumiało tego mechanizmu.

Czy to, co się obecnie dzieje między UE a Kanadą, nie jest testowaniem nowej formy członkostwa stowarzyszonego, rozumianego znacznie szerzej niż dotychczasowe umowy stowarzyszeniowe, które zostanie zaproponowane Ukrainie jako erzac akcesji?

Byłoby to skrajnie niebezpieczne dla Polski. Odkąd Unia powstała, zawsze były w niej tendencje, żeby ustanowić różne kręgi wtajemniczenia. Szczerze mówiąc, i tak trochę tak jest. Polska nie jest np. w strefie euro. Te kręgi wtajemniczenia sprawiają, że niektórzy uważają, iż mają trochę więcej praw, ale dopóki to nie zostanie głośno wypowiedziane, da się żyć. Gdyby jednak zostało to usankcjonowane na przykładzie ukraińskim, byłbym załamany, bo w końcu zostałoby to też użyte wobec Europy Środkowej. Najpierw ktoś wymyśli, by w ten sposób częściowo przyjąć Ukrainę, potem powie, by tak samo przebudować wnętrze UE. Ktoś jest w Beneluksie, dalej jest sześć państw założycielskich, potem te, które dołączyły później – i nagle się okaże, że decydującą kwestią nie jest przynależność do Unii, tylko do strefy euro. Dlatego odradzam Ukraińcom zgodę na taki wariant. To i u nich będzie wywoływało frustrację, bo to, podobnie jak w naszym przypadku, jest naród bardzo aspiracyjny. Z Kanadą jest inna historia. To duża gospodarka globalna, dla której pogłębiona współpraca z UE będzie oznaczać ogromne zbliżenie z Unią. A może to tylko element targów z administracją Trumpa?

Czy w przewidywalnej perspektywie leży na stole powrót do koncepcji nowej umowy polsko-ukraińskiej, której projekt powstał w 2022 r., ale pozostał w szufladzie?

Chwilowo dominują kwestie taktyczne. Nie widzę teraz pola na tak skomplikowane działania strategiczne, jak negocjowanie szerokiego traktatu. Ale jestem za tą ideą. Wojna naprawdę zmieniła wiele spraw, a wiele się też zmieni w naszych relacjach, gdy Ukraina wejdzie w końcu do Unii.

W kontekście nadchodzącej kampanii wyborczej w Polsce te kwestie taktyczne mogą być wraż-

eprasa.pl 6757e36917



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Paweł Kowal – poseł, przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych, pełnomocnik rządu ds. odbudowy Ukrainy, były europoseł i wiceszef MSZ

liwsze niż zinstytucjonalizowana współpraca.

Jeśli popatrzeć na sinusoidę emocji, najgorsze mamy za sobą.

Kampania tego nie popsuje?

Sytuacja została ustabilizowana, chociaż oczywiście brauniści będą próbowali podkręcać nastroje.

Politycy PiS mówią nam, że granie antyukraińskimi emocjami daje wyniki w sondażach.

Moim zdaniem nie ma na to więcej pola.

Skąd ta pewność?

Widać to w sytuacjach skrajnych, np. po zabójstwie księdza w Jarosławiu. Część polityków Konfederacji i brauniści szukali okazji do politycznego zarobku. Ale ludzie nie chcą eskalacji. Głęboko wierzę w ludzką mądrość. Ludzie rozróżniają też sytuacje prawdziwe od nieprawdziwych. Wiem, co mówię: mój okręg wyborczy leży w Podkarpackiem.

Najciekawszy wniosek z reportażu DGP z Jarosławia („Im bliżej, tym ciszej", DGP Magazyn na Weekend nr 192 z 2 października 2026 r.) był taki, że im bliżej ktoś był centrum wydarzeń, tym spokojniej na nie reagował.

Ludzie wiedzą, co trzeba robić.

Jednocześnie na pogrzebie pojawiła się ekipa, która objeżdża m.in. ekshumacje. Tym ludziom nie podobał się pojednawczy apel rannego ks. Adriana Mantykiewicza.

To nie był tylko apel ks. Adriana. Podobna była reakcja biskupa przemyskiego, cały system kościelny bardzo dobrze się zachował od pierwszych godzin po ataku. Ja też od razu tam pojechałem. Wróciłem z wnioskiem, żeby nie kierować się zbytnio reakcjami w internecie, bo to rosyjsko-diabelska robota. Jest różnica między wyimaginowanym, abstrakcyjnym Ukraińcem, który rzekomo ma te wszystkie przywileje, a panią Oksaną, która obsługuje nas w sklepie, którą się lubi i z którą się codziennie rozmawia, albo panią Ludą, która prowadzi firmę informatyczną. Ukraińców w Polsce jest ponad milion, każdy jakiegoś zna. Nie jest łatwo wmówić ludziom, że wszyscy Ukraińcy są źli. Nie ma na to szans.

Dużo się pan napracował nad zniwelowaniem skutków uchwały Lwowskiej Rady Obwodowej o ogłoszeniu roku 2027 Rokiem Romana Szuchewycza? Uchwała nie została podpisana.

Gdy działamy dyplomatycznie, to nie gadamy. Cieszę się, że w relacjach polsko-ukraińskich nastąpiła zmiana. Widzę ją wyraźnie, chociaż pojawiają się prowokacje; dla mnie uchwała Rady Obwodowej była prowokacją. Nasze relacje z politologicznego punktu widzenia są bardzo nietypowe. Po takim kryzysie, jaki mieliśmy w czerwcu w związku z nadaniem jednej z jednostek imienia Bohaterów UPA, normalnie odbudowywano by je latami. A jednak dobra wola wielu ludzi po obu stronach i kontekst wojenny spowodowały, że po paru miesiącach jest postęp. Reakcja władz ukraińskich na ostatnią uchwałę była inna niż wiele razy wcześniej. Widać było wolę prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i aktywność paru istotnych osób z jego otoczenia, jak szef MSZ Andrij Sybiha, wiceszefowa biura prezydenta Iryna Wereszczuk, szef biura prezydenta Kyryło Budanow. Z drugiej strony deputowany Mykoła Kniażycki, który reprezentuje opozycję. Oni wszyscy tworzą grupę osób starających się po tamtej stronie zrozumieć naszą wrażliwość i faktycznie budować dobre relacje.

Kijów też miał poczucie, że uchwała była prowokacją?

Pytajcie w Kijowie. W momencie, gdy Ukraina tak bardzo potrzebuje wsparcia, robienie takiego numeru jest oczywistą prowokacją. Rosjanie będą grali nacjonalizmem po to, żeby poróżnić Polaków i Ukraińców.

Prowokacja – ale czy zaskoczenie? Konsulat we Lwowie nie alarmował, że taka uchwała jest procedowana?

Nie musiał, przecież to była znana sprawa. Po turbulencjach z czerwca i lipca liczyłem na to, że strona ukraińska będzie jednak powstrzymywać tego rodzaju plany bez naszych apeli. I faktycznie reakcja władz centralnych była tym razem inna. Także badania opinii publicznej na Ukrainie pokazały, że zwykli Ukraińcy nie dali się wkręcić Lwowskiej Radzie Obwodowej w kolejną polsko-ukraińską awanturę.

Chronologia zastanawia. 16 października prezydent Zełenski spotkał się w Brukseli z premierem Donaldem Tuskiem. 17 października Zełenski odpowiedział na pytanie DGP, że nasze relacje istotnie się poprawiły dzięki wysiłkom obu zespołów. 19 października poinformowano o zakończeniu ukraińskich prac poszukiwawczych w Łaskowie w Lubelskiem. A 20 października rada podjęła uchwałę. To tak, jakby ktoś próbował wywrócić pozytywne procesy polityczne.

Mam nadzieję, że na tym etapie już się tego nie da zrobić. Jeśli chodzi o sprawy humanitarne, czyli prawo do godnej pamięci o zmarłych bliskich, powszechnie znane jako kwestia ekshumacji, nasze polskie wnioski – Instytutu Pamięci Narodowej i Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Medycznego – są rozpatrywane pozytywnie i ekshumacje trwają.

W pracach bierze udział firma Dola, na której czele stoi lwowski radny Swiatosław Szeremeta. To promotor uchwały o Szuchewyczu, objęty za nią zakazem wjazdu do strefy Schengen. To nie zakłóci dalszych prac?

Dola to komunalne przedsiębiorstwo, nie prywatna własność Szeremety. Niech decydują władze obwodowe. Wszystkie ekshumacje przebiegają według tego samego schematu. Instytucje jednej strony składają wnioski, a ich realizacja odbywa się po drugiej stronie granicy przy współpracy z firmami, które mają do tego uprawnienia archeologiczne na terytorium tamtego kraju. W naszym przypadku wnioski składa najczęściej IPN i pracuje z ukraińskim przedsiębiorstwem, które ma koncesję. Dola to jedna z firm, które na zlecenie polskich podmiotów i z ich udziałem prowadzą wykopaliska.

Czy wcześniej to, że Dolą kieruje Szeremeta, nie wywoływało problemów we współpracy? To nie jest jego pierwszy zakaz wjazdu do Polski.

Nie wywoływało.

Skoro relacje się poprawiły, to może odebranie Zełenskiemu Orderu Orła Białego było właściwą terapią szokową?

Na pewno sprawa doprowadziła do przyspieszonego zdefiniowania stanowisk nie w oparciu o „kicz pojednania", lecz o zaznaczenie istniejących różnic i interesów. Paradoksalnie, jak nieraz bywa z problemami, było w tych wydarzeniach coś pozytywnego. Tlący się spór i żale zostały wypowiedziane, a to często pomaga. Ale stało się coś jeszcze, co moim zdaniem jest istotne dla zrozumienia wydarzeń z lat 1943–1947: więcej osób po obu stronach zaczęło się zagłębiać w szczegóły i rozumieć skalę tamtych wydarzeń. Zaczęli je traktować w sensie uniwersalnym, nie tylko jako kwestię polsko-ukraińską, ale też jako powód do zasadniczego pytania o stosunek współczesnych do masowych zbrodni z przeszłości. W XXI w. nie można być nowoczesnym politykiem, szczególnie o poglądach liberalnych czy centrowych, i przechodzić do porządku dziennego nad zbrodniami wojennymi. Ludzie zaczęli sobie układać w głowie, że nie mówimy o jakichś abstrakcyjnych trudnych wydarzeniach historycznych, tylko o planie ludobójczym, którego narzędziem były daleko zakrojone zbrodnie wojenne. Polityk ma obowiązek je potępiać niezależnie od tego, czy zaszły w Srebrenicy, w Kigali czy w Ostrówkach. Jeżeli faktycznie chcesz iść do Europy, chcesz być członkiem NATO, to nie możesz jednocześnie mówić, że twoim bohaterem jest ktoś, kto polecił w jeden dzień wymordować w Ostrówkach 900 osób.

Czy są jakieś inne widoczne oznaki poprawy relacji polsko-ukraińskich?

Teraz najważniejsza jest chyba transakcja dokonywana przez PZU, który kupuje MetLife Ukraina. Czekam niecierpliwie na jej dopięcie. Jest już zgoda urzędu antymonopolowego, brakuje tylko decyzji Narodowego Banku Ukrainy. Ta transakcja jest ważna nie tylko ze względu na jej rozmiary – to 1 mln klientów, największy gracz na rynku ubezpieczeń na życie – ale właśnie jako widoczny znak naszych relacji, pokazujący, że po stronie ukraińskiej jest otwartość także na związki gospodarcze.

Czy coś się dzieje w sprawie autostrady z polskiej granicy przez Lwów do Łucka? Czy dalej nie ma chętnych po polskiej stronie, by się starać o tę zapowiadaną przez polityków inwestycję?

Od strony logistycznej jesteśmy przygotowani. Mamy porozumienie Budimexu, Polimexu i innych podmiotów. Jest plan, żeby włączyły się w to kolejne duże firmy prywatne. Wymaga to też rozmowy z zachodnimi bankami i z takimi podmiotami, jak Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju albo Komisja Europejska, bo tego typu inwestycje nie będą finansowane z polskiego budżetu. Myślę jednak, że na realizację będziemy czekać do zakończenia wojny. Generalnie w czasie konfliktu trudno o inwestycje w nieruchomości. Firmy nie dostają zielonego światła, choćby od swoich rad nadzorczych. Dlatego inwestycja PZU jest cenna, bo nie da się jej zbombardować. ©℗

eprasa.pl 6757e36917

Świat

Pan i pani Huang

Jensen Huang nie jest już prezesem Nvidii. Romans byłego już szefa firmy produkującej najbardziej zaawansowane chipy na potrzeby AI z kobietą, która mogła być chińskim szpiegiem, zaostrzy politykę eksportową USA



FOT. AFP PHOTO/CTI VIA AFPTV/EAST NEWS

Były już szef Nvidii Jensen Huang (w ciemnej koszulce), za nim Alice Huang, prawdopodobnie chińska agentka. Tajpej, 22 maja 2025 r.

Tomasz Jóźwik

Jensen Huang poznał Alice Huang prawdopodobnie w grudniu 2023 r. we włoskiej restauracji w Singapurze. Ówczesny prezes Nvidii spotkał się z biznesowymi partnerami, wśród których była szefowa miejscowej spółki Megaspeed. „The New York Times" („NYT") dotarł do zrobionego przy tej okazji zdjęcia, którego autentyczność dziennikarze potwierdzili. Według mniej wiarygodnych ustnych relacji państwo Huang, których nie łączą więzy rodzinne, mogli się po raz pierwszy zetknąć już w poprzedniej dekadzie.

Ich ostatnie udokumentowane spotkanie miało miejsce w maju 2025 r. na Tajwanie. Wychodząc z restauracji po biznesowej kolacji zorganizowanej przez Nvidię, Jensen Huang objął Alice Huang i razem wsiedli do auta. Ona pocałowała go w policzek. Zapytany pod koniec października przez agencję Bloomberg o kontakty z Alice Huang menedżer stwierdził, że „nasze relacje były związane z firmą Megaspeed", a „wszystko było całkowicie normalne i nie miało w sobie nic niezwykłego".

Niecałe dwa tygodnie później zmienił zdanie. „Byłem niewierny żonie. Moje czyny zraniły ją i nasze dzieci. Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłem. Bardzo przepraszam" – napisał Huang w e-mailu wysłanym do pracowników Nvidii. Według amerykańskiego wywiadu Alice Huang była chińskim szpiegiem; Bloomberg podaje, że obecnie przebywa ona w Pekinie.

Akcjonariusze liczą straty

Od kiedy 29 października „NYT" opisał historię bliskich relacji Jensena i Alice Huang, do 10 listopada wartość rynkowa Nvidii obniżyła się o ponad 900 mld dol. Nie wszystkie straty poniesione przez posiadaczy akcji można przypisać działaniom prezesa. W tym czasie przez Wall Street przetoczyła się wyprzedaż akcji firm technologicznych po zwycięstwie demokratów w wyborach do Kongresu. Niemniej między 29 października a 10 listopada wartość indeksu Nasdaq Comp, obrazującego poziom kursów w sektorze technologicznym, obniżyła się o 2,5 proc. Kurs akcji Nvidii spadł w tym okresie o 18 proc.

To był dopiero początek problemów szefa Nvidii. Rada dyrektorów spółki powołała komitet złożony z niezależnych menedżerów i zewnętrznego prawnika do zbadania sprawy romansu prezesa. „Chociaż rada nie ma powodu sądzić, że doszło do naruszenia bezpieczeństwa narodowego lub tajemnic firmy, w toku dochodzenia zostaną zbadane wszystkie dostępne informacje" – napisała firma w oświadczeniu. Jensen Huang poparł dochodzenie i zapowiedział pełną współpracę z komitetem. Na początku nie zamierzał podawać się do dymisji, jednak w czwartek (15 listopada) zrezygnował.

Sprawą Nvidii i jej byłego już prezesa zainteresowali się także członkowie Kongresu. Trzech republikańskich polityków w Izbie Reprezentantów poprosiło Jensena Huanga o wyznaczenie terminu spotkania, najpóźniej 18 listopada, z przedstawicielami niższej izby parlamentu. Według Elizabeth Warren, czołowej demokratki w senackiej komisji bankowej, Huang i zarząd Nvidii są winni Kongresowi wyjaśnienia.

Na tym nie kończy się lista instytucji zainteresowanych sprawą. Postępowanie karne w sprawie firmy Megaspeed toczy się w Departamencie Sprawiedliwości, a według prezydenta Donalda Trumpa dochodzenie prowadzi również FBI.

Kontrowersje wokół Megaspeed

Singapurska spółka powstała w 2023 r. jako podmiot wydzielony z chińskiej firmy 7Road Holdings. Specjalizowała się w budowie centrów danych w Azji Południowo-Wschodniej, w których wykorzystywano procesory Nvidii. W listopadzie 2023 r. Megaspeed stała się uczestnikiem programu Nvidia Cloud Partner, dzięki czemu spółka uzyskała priorytetowy dostęp do najnowocześniejszych procesorów wytwarzanych przez Nvidię. Alice Huang formalnie była dyrektorem generalnym Megaspeedu jedynie kilka miesięcy i już trzy lata temu zniknęła z oficjalnych dokumentów. Jednak według relacji jednego ze współpracowników jeszcze w maju 2026 r. decydowała o działaniach firmy.

Już w 2024 r. władze USA zwróciły uwagę na zainteresowanie Alice Huang Nvidią i amerykańskim przemysłem półprzewodników. Równolegle pojawiły się podejrzenia, że Megaspeed przekierowuje chipy kupione od Nvidii do Chin, omijając w ten sposób amerykańskie restrykcje eksportowe, zabraniające sprzedaży największemu strategicznemu rywalowi najnowocześniejszych technologii. Na prośbę USA podróże Alice Huang zaczęły monitorować służby tajwańskie. Obecnie była pracowniczka m.in. chińskich państwowych mediów, widniejąca w dokumentach korporacyjnych jako Huang Le, ma zakaz wjazdu na Tajwan.

W USA dochodzenie w sprawie potencjalnego łamania przez Megaspeed restrykcji eksportowych najpierw prowadził Departament Handlu, następnie Departament Sprawiedliwości. O wpisanie spółki na listę firm objętych sankcjami USA wnioskował Departament Skarbu. Wniosek ten poparł Departament Obrony, uznając Megaspeed za zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Mimo to spółka na listę nie trafiła. Wiele wskazuje na to, że wciąż aktywnie działa jako klient Nvidii.

Jak ważny jest Jensen Huang

Według amerykańskich mediów Alice Huang została zwerbowana przez chiński wywiad ze względu na bliską znajomość z Jensenem Huangiem. Jej celem było zdobycie informacji o samej Nvidii, ale także doprowadzenie do ograniczenia amerykańskich restrykcji eksportowych.

Zainteresowanie Jensenem Huangiem ze strony Pekinu nie jest niczym niezwykłym. Stany Zjednoczone zawzięcie rywalizują z Chinami o miano lidera w rozwoju AI. Według ekspertów USA utrzymują przewagę nad głównym rywalem przede wszystkim dlatego, że amerykańskie firmy mają dostęp do najbardziej zaawansowanych procesorów, których Pekin nie jest w stanie samodzielnie produkować. Na szczycie technologicznej piramidy stoi Nvidia. Dopiero prowadzone dochodzenia pokażą, czy Alice Huang zrealizowała swoje cele.

Faktem jednak jest, że w zeszłym roku Jensen Huang lobbował w Białym Domu za zniesieniem restrykcji eksportowych i umożliwieniem Pekinowi zakupu najwydajniejszych chipów Blackwell produkowanych przez Nvidię. Huang argumentował, że w ten sposób Stany Zjedno-

eprasa.pl 6757e36917



czone uzależnią Chiny od amerykańskiej technologii, powstrzymując je tym samym od własnej produkcji. Ostatecznie w grudniu 2025 r. prezydent Donald Trump zezwolił na eksport do Państwa Środka słabszych układów H200.

Jensen Huang utrzymuje dobre relacje z prezydentem USA. Trump wielokrotnie z nim rozmawiał, a w maju zeszłego roku w ostatniej chwili dołączył do składu delegacji udającej się do Pekinu. Wszystko wskazuje na to, że Biały Dom już wówczas miał wiedzę o niebezpiecznej relacji Huanga.

Jeszcze w poniedziałek Trump relacjonował mediom swoją rozmowę z Huangiem, w której były prezes Nvidii miał stwierdzić, że nie miał pojęcia o roli Alice Huang. Jedno z wielu pytań pozostających na razie bez odpowiedzi brzmi: czy pani Huang uzyskała jakąś wiedzę na temat rozmów Trumpa z Jensenem Huangiem, którą mogła się podzielić z chińskim wywiadem?

Władze w Pekinie odcięły się od podejrzeń o szpiegowanie Jensena Huanga. Według tamtejszego MSZ cała historia opiera się na bezpodstawnych spekulacjach, jest oszczerstwem i próbą oczernienia Chin.

Tajemnice Nvidii

Do sądu federalnego w San Jose wpłynął już pierwszy pozew przeciw Nvidii i Huangowi. Mark Kistenmacher, akcjonariusz firmy, podnosi w nim, że spółka i jej ówczesny szef wprowadzili inwestorów w błąd publicznymi wypowiedziami o relacjach Nvidii z Megaspeedem. Nie ujawnili także osobistej relacji Huanga, która mogła mieć znaczenie dla oceny ryzyka związanego z inwestycją w akcje Nvidii, i nie poinformowali o potencjalnym zagrożeniu, jakie przyniosły działania Haunga dla bezpieczeństwa narodowego USA, reputacji samej spółki i perspektyw jej działalności. Pozew ma status proposed class action, co oznacza, że Kistenmacher oczekuje przyłączenia się do niego innych osób.

Żeby liczyć na jakieś odszkodowanie, powodowie muszą dowieść, że spółka lub Huang świadomie wprowadzili wszystkich w błąd. Takiego scenariusza nie można wykluczyć, biorąc pod uwagę dotychczasowe działania Nvidii w sprawie Megaspeedu. Media ustaliły, że w zeszłym roku główny prawnik Nvidii kontaktował się z wysokiej rangi urzędnikiem Departamentu Handlu, żeby wysondować, czy amerykańskie władze mają coś wspólnego z zatrzymaniem Alice Huang w Singapurze. Zatrzymania miała dokonać miejscowa policja, bez udziału USA, w związku z podejrzeniem, że Megaspeed narusza miejscowe prawo, szmuglując procesory do Chin. Po kontakcie Nvidii z Departamentem Handlu amerykańskie śledztwo na pewien czas wyhamowało.

Według agencji Bloomberg Nvidia przekazała amerykańskim władzom nieprecyzyjne dane o swoich relacjach z Megaspeedem, zaniżając o ok. 50 tys. liczbę procesorów, które trafiły do singapurskiej firmy. Nvidia poinformowała również władze, że skontrolowała osiem spółek, które zarządzały centrami danych wyposażonymi w procesory Nvidii dostarczone za pośrednictwem Megaspeedu. Kontrola wypadła pozytywnie, to znaczy sprzęt znajdował się w miejscu, w którym powinien. Zapytane przez Bloomberg dwie firmy zaprzeczyły, że w ich obiektach znajduje się sprzęt od Megaspeedu.

Lawina ruszyła

Historia jest daleka od zakończenia. Niemal codziennie pojawiają się nowe doniesienia, które tylko pogarszają sytuację Nvidii. We środę „NYT" poinformował, że Jensen Huang miał romans również z jedną z wiceprezesek firmy. Poproszony o wypowiedź menedżer miał zakończyć telefoniczne połączenie z dziennikarzem, gdy usłyszał pytanie.

Wiadomo już, że romans Jensena Huanga będzie miał polityczne konsekwencje. W Kongresie przyspieszyły prace nad ustawami, które mają ograniczyć takim państwom, jak Chiny dostęp do amerykańskich technologii. Pierwsza z nich rozszerza restrykcje eksportowe związane z urządzeniami i komponentami wykorzystywanymi w sprzęcie do produkcji chipów. Kolejna zwiększa kontrolę Kongresu nad licencjami eksportowymi wydawanymi przez rząd, a ostatnia nakłada obowiązek wyposażania najbardziej zaawansowanych procesorów w urządzenia lokalizacyjne. Kongresmeni planują też zamknąć furtkę w prawie, która umożliwiała – np. Chinom – zdalny dostęp do mocy obliczeniowych zainstalowanych w centrach danych wyposażonych w najbardziej zaawansowane mikroprocesory. ©℗

Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl



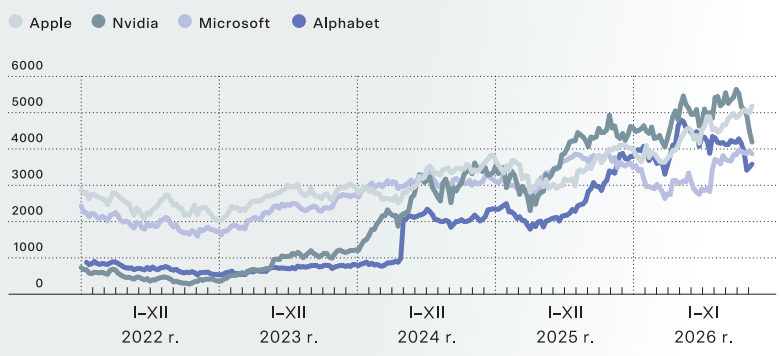
Mniej Więcej

Łukasz
Wilkowicz

Wartość Nvidii skurczyła się o bilion dolarów

Od początku listopada akcje Nvidii, czołowego producenta chipów wykorzystywanych w modelach sztucznej inteligencji, straciły ok. 15 proc. wartości. Konkurenci do miana najwyżej wycenianej firmy świata nie doświadczyli takich spadków. W przypadku Nvidii kilkunastoprocentowy spadek oznacza, że kapitalizacja rynkowa skurczyła się o niemal 750 mld dol., a jeśli wziąć pod uwagę ostatni miesiąc, dostaniemy kwotę przekraczającą 1 bln. Listopadowe spadki to po części następstwo wyborów do Kongresu – wygranej demokratów i ryzyka ograniczania tempa rozwoju AI. W ostatnich dniach to przede wszystkim skutek zamieszania związanego z romansem byłego szefa firmy Jensena Huanga i związaną z tym aferą szpiegowską. ©℗

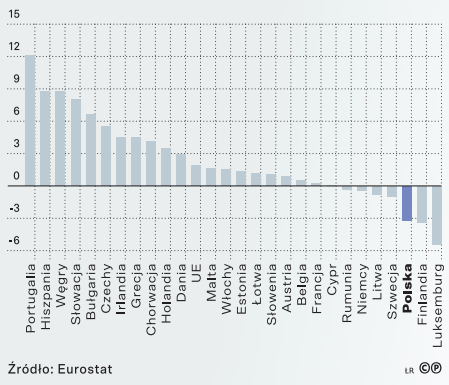
Spółki o największej wartości rynkowej*
(mld dol.)



Źródło: Stooq.pl * według stanu obecnego LR ©℗

Mieszkania podrożały, ale dostępność cenowa wzrosła

Relacja cen mieszkań do dochodów
(2025 r.; roczna zmiana; proc.)



Źródło: Eurostat LR ©℗

Na rynku mieszkaniowym widzimy zwykle wzrosty cen. Z perspektywy dostępności mieszkań decydujące jest jednak to, jak wygląda relacja cen do zarobków potencjalnych nabywców. Wedug Eurostatu Polska w ubiegłym roku należała do państw, w których dostępność lokali relatywnie rosła: relacja cen do zarobków spadła o 3,2 proc. Większe spadki (czyli poprawa) miały miejsce jedynie w Luksemburgu i Finlandii. W całej UE nastąpił w tym czasie wzrost relacji ceny–zarobki o 1,9 proc., a w Portugalii przekroczył on nawet 10 proc. ©℗

Dolar silny nadziejami na podwyżki stóp

Dolar jest najdroższy od lutego 2025 r., czyli od okresu krótko po inauguracji Donalda Trumpa. Ma to związek z oczekiwaniami, że Rezerwa Federalna, bank centralny USA, będzie się starała go stabilizować przez podwyżki stóp procentowych. Takie nadzieje wzmogły dane inflacyjne: ceny konsumpcyjne we wrześniu były o 0,6 proc. wyższe niż miesiąc wcześniej, a w październiku wzrost wyniósł 0,4 proc. Jaka była inflacja w skali roku, oficjalnie nie wiemy, bo z powodu ubiegłorocznego zawieszenia działalności rządu nie ma punktu odniesienia (analitycy szacują, że 12-miesięczna inflacja w USA wynosi prawie 4 proc.). Siła dolara powoduje, że kurs euro w amerykańskiej walucie zmierza w stronę 1,1 dol. ©℗

Kurs euro w dolarach



Źródło: Stooq.pl LR ©℗

eprasa.pl 6757e36917

Lepiej wynajmijcie prawników

Kryptowalutowe biznesy z szejkami, handel ułaskawieniami, przyjęcie weselne na rachunek oligarchy. Po zaprzysiężeniu nowego składu Kongresu demokraci planują lawinę śledztw dotyczących korupcyjnych procederów rodziny Trumpów i jej akolitów

Emilia
Świętochowska

W niedawną noc wyborczą, gdy kolejne bastiony prawicy padały jeden po drugim jak kostki domina, demokratyczny kongresmen Robert Garcia udzielił prezydentowi oraz jego ludziom małej rady: „Lepiej wynajmijcie prawników".

Garcia szykuje się do przejęcia fotela szefa komisji nadzoru Izby Reprezentantów, która ma za zadanie wykrywać konflikty interesów w administracji i tropić niejasne powiązania na styku polityki oraz biznesu. Ostatnie dwa lata upłynęły komisji pod znakiem paraliżu i jałowych kłótni. Choć wokół Białego Domu piętrzyły się skandale i podejrzenia o korupcję, kierujący komisją republikanie zapewniali Donaldowi Trumpowi nietykalność, gładko ucinając niemal każdą próbę prześwietlenia oplatającej go sieci interesów.

3 stycznia 2027 r., wraz z przejęciem kontroli nad Kongresem przez demokratów („MAGA ma swoją rebelię", DGP Magazyn na Weekend nr 217 z 6 listopada), ta gwarancja bezkarności definitywnie wygaśnie. Triumfatorzy wyborów połówkowych się zarzekają, że nie będą szukać odwetu, ale skrupulatnie rozliczą wszystkie nadużycia władzy – zaczynając od samej góry. Scenariusz na nową kadencję przewiduje lawinę dochodzeń oraz publiczne przesłuchania czołowych postaci administracji i wspierających ją miliarderów. „Jeśli bogaciliście się kosztem amerykańskich rodzin i oszukiwaliście inwestorów, przygotujcie się na śledztwa – i to poważne" – zapowiedziała w CBS Elizabeth Warren, która ma stanąć na czele senackiej komisji bankowej.

Kryptowalutowa bonanza

Na pierwszy ogień ma pójść biznesowe imperium Trumpów, które od powrotu nestora rodu do Białego Domu przeżywa złoty okres: „Forbes" wycenia dziś fortunę prezydenta na 7,3 mld dol. Tylko w pierwszym roku kadencji wartość jego portfolio urosła o 2,7 mld, z czego gros przypadło na dochody z operacji kryptowalutowych. Ich wehikułem jest World Liberty Financial (WLF), platforma blockchainowa, na której użytkownicy kupują i wymieniają wirtualne tokeny. Prezydencka rodzina inkasuje 75 proc. wpływów ze sprzedaży każdego żetonu, a pozostała część trafia w większości do innego nepotycznego układu: Zacka Witkoffa i jego ojca Steve'a, pełniącego funkcję osobistego dyplomaty głowy państwa.

Przywódca USA dał swoje błogosławieństwo projektowi, ale na co dzień za sterami WLF stoją jego synowie Donald Jr i Eric. Choć obaj dorobili się statusu milionerów jeszcze przed zaprzysiężeniem, rok 2025 był dla nich nadzwyczaj szczodry: ten pierwszy pomnożył majątek sześciokrotnie (do 300 mln dol.), ten drugi – aż 10-krotnie (do 400 mln dol.). Najmłodszy potomek prezydenta, 20-letni Barron, który podobno wprowadził ojca w świat kryptowalut, też zarobił krocie – jego bogactwo szacuje się na 150 mln dol.

Demokraci zamierzają się przyjrzeć zwłaszcza najbardziej lukratywnej transakcji Trumpów: sprzedaży 49 proc. udziałów w World Liberty Financial firmie szejka Tahnuna ibn Zajeda Al Nahjana, członka rodziny królewskiej ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich i jednego z głównych rozgrywających na Bliskim Wschodzie. Opiewająca na 0,5 mld dol. umowa została podpisana cztery dni przed prezydencką inauguracją. Zaledwie kilka miesięcy później przywódca USA zezwolił na eksport do ZEA 0,5 mln najbardziej zaawansowanych chipów Nvidii. Szejk Tahnun, który marzy, by uczynić z naftowego królestwa potęgę AI, zabiegał o ich pozyskanie już za rządów Joego Bidena, ale sprzedaż blokowano z obawy, że cenna technologia mogłaby wyciec do Chin.

Innym członkiem prezydenckiej familii, który może się spodziewać dochodzenia, jest zięć prezydenta Jared Kushner. Nie ma dziś w Białym Domu osoby, która uosabiałaby konflikt interesów bardziej niż on. Chociaż Kushner oficjalnie nie zajmuje żadnego stanowiska w administracji, w duecie z Witkoffem odgrywa rolę dyżurnego wysłannika Trumpa na Bliski Wschód i mediatora między Rosją a Ukrainą. Jesienią 2025 r. dopinał porozumienie o uwolnieniu zakładników między Izraelem a Hamasem, a zimą spotykał się w Miami z Rosjanami, by omówić ich warunki zakończenia wojny. Jeśli nie odwiedza w Moskwie Władimira Putina, negocjuje w Islamabadzie zniesienie ograniczeń w tranzycie ropy przez cieśninę Ormuz. Między kolejnymi misjami dyplomatycznymi Kushner objeżdża kraje Zatoki Perskiej, pozyskując fundusze dla swojej firmy private equity Affinity Partners.



Donald Trump wraz z rodziną świętuje zaprzysiężenie na prezydenta USA. Waszyngton, 20 stycznia 2025 r.

Poruszanie się po regionie ułatwiają mu kontakty zadzierzgnięte podczas pierwszej kadencji Trumpa, gdy pracował jako prezydencki doradca. To wtedy nawiązał bliską znajomość z następcą tronu Arabii Saudyjskiej Muhammadem ibn Salmanem, stając się jego nieformalnym łącznikiem z Białym Domem. Po zabójstwie w 2018 r. opozycyjnego dziennikarza Dżamala Chaszukdżiego (został uduszony i poćwiartowany w saudyjskim konsulacie w Stambule) pomagał Saudowi przetrwać międzynarodową izolację oraz podtrzymać przychylność Trumpa. Książę nie pozostał mu dłużny. Sześć miesięcy po opuszczeniu Białego Domu przez Kushnera saudyjski fundusz zainwestował w Affinity Partners 2 mld dol. Do tego dochodzą setki milionów dolarów ulokowane przez rządy ZEA i Kataru. „To, co inni nazywają konfliktami interesów, ja i Steve (Witkoff – red.) nazywamy doświadczeniem i relacjami opartymi na zaufaniu" – bronił się zięć prezydenta.

Podarunek od oligarchy

Pod lupą znajdą się też ultrakosztowne prezenty ofiarowane Trumpom w dowód przyjaźni. Ich listę otwiera wart 400 mln dol. luksusowy odrzutowiec Boeing 747–8, który podarowały Stanom Zjednoczonym władze Kataru. „To latający Biały Dom, urządzony z niespotykanym przepychem" – zachwalał upominek prezydent. Jego przyjęcie wywołało wątpliwości etyczne i prawne, a także pytania o standardy bezpieczeństwa. Zgodnie z przepisami funkcjonariusze publiczni mają obowiązek przekazać do zbiorów państwowych każdy prezent o wartości przekraczającej 480 dol. – chyba że zapłacą za niego cenę rynkową. Trump przekonywał, że odrzutowiec nie będzie jego własnością, lecz Departamentu Obrony, a po zakończeniu jego kadencji trafi do zasobów fundacji, która sfinansuje budowę prezydenckiej biblioteki.

Następną sprawą, którą zajmą się demokraci, będzie wystawne, trzydniowe wesele Donalda Trumpa Jr. Portal śledczy ProPublica ujawnił, że rachunek za ostatni niezapomniany wieczór – przyjęcie z pokazem fajerwerków na Bahamach – uregulował Umar Kriemlow, rosyjski oligarcha utrzymujący bliskie kontakty z Władimirem Putinem. „Był to niezwykle hojny prezent ślubny od przyjaciela, za który byliśmy i wciąż jesteśmy

eprasa.pl 6757e36917



FOT. KENNY HOLSTON/POOL/THE NEW YORK TIMES VIA AP/EAST NEWS

ogromnie wdzięczni" – tłumaczyła się Bettina Trump, małżonka Donalda Jr. Nie wiadomo dokładnie, jaką kwotę wyłożył zausznik Kremla, by z pompą uczcić nowożeńców, ale wydatki musiały sięgnąć przynajmniej kilkuset tysięcy dolarów – samo wynajęcie prywatnej wyspy, na której odbyła się impreza, kosztuje 100 tys. dol. za dzień.

Kriemlow jest potentatem rosyjskiego rynku zakładów bukmacherskich i prezesem finansowanego przez Gazprom Międzynarodowego Stowarzyszenia Boksu (IBA), które z powodu afer sędziowskich i oskarżeń o korupcję straciło prawo do organizacji zawodów na igrzyskach olimpijskich w 2028 r. Kilka dni przed uroczystościami weselnymi Donalda Jr. towarzyszył Putinowi w podróży do Chin, a w kwietniu otrzymał od niego Order Przyjaźni.

Syn prezydenta USA nie zdradził, kiedy nawiązał zażyłą relację z rosyjskim oligarchą ani co ich konkretnie łączy. Jego rzecznik oświadczył jedynie, że „poznali się przez wspólnego znajomego ze środowiska myśliwskiego, a zbliżyło ich zamiłowanie do boksu i spędzania czasu na łonie natury". Prezydent Trump bronił gestu oligarchy, zapewniając, że wyprawianie przyjęć w prezencie ślubnym jest „powszechną praktyką". Mimo to Donald Jr obiecał zwrócić organizatorowi pieniądze za imprezę.

Jego kłopoty mogą wykraczać poza kryptowaluty i świętowanie za rosyjskie pieniądze. Syn amerykańskiego przywódcy jest partnerem w 1789 Capital, funduszu venture capital, który inwestuje w spółki zarabiające na kontraktach rządowych.

Eldorado lobbystów

Aż do nastania epoki MAGA korupcja władzy nie należała do tematów rozgrzewających dyskusje przy kuchennych stołach Amerykanów. Wyborcy rytualnie narzekali na nieudolne przywództwo i paraliż w Kongresie, ale polityków traktujących urząd jak prywatny folwark uznawali raczej za jednostkowe patologie, a nie systemowy problem. W drugiej kadencji Trumpa zaszła wyraźna zmiana. W pewnym sensie Stany Zjednoczone zaczęły przypominać państwa okupujące dolne szczeble rankingów przejrzystości. Instytut Gallupa odnotował w tym roku najwyższy od 20 lat odsetek Amerykanów przekonanych, że korupcja w rządzie jest powszechnym zjawiskiem: 89 proc. Tylko w czterech ze 132 badanych krajów jest on wyższy: w Libanie, Peru, Nigerii i Ghanie. Dla porównania – średnia dla państw OECD wynosi 59 proc.

Z niektórych sondaży przed wyborami połówkowymi wynikało, że korupcja wzbudza większe zaniepokojenie niż wysokie ceny paliwa i żywności, ograniczona dostępność opieki zdrowotnej czy nielegalna imigracja. Przytłaczające zwycięstwo demokratów pokazało, że – obok drożyzny – był to główny czynnik, który poderwał Amerykanów do urn. W badaniu przeprowadzonym w lokalach wyborczych przez NBC News aż 90 proc. osób przyznało, że sprzeciw wobec korupcji odegrał kluczową lub ważną rolę w decyzji, na kogo zagłosować.

Pieniądze płyną szerokim strumieniem nie tylko do familii Trumpów, lecz także ludzi z jej orbity: wyborczych sponsorów, sojuszników politycznych, wpływowych przedsiębiorców. Jednym z najbardziej lukratywnych i charakterystycznych dla epoki MAGA mechanizmów żerowania na prezydenturze jest handel ułaskawieniami. Wszystkim szefom administracji zdarzało się darować kary swoim stronnikom, ale za rządów Trumpa zamieniło się to w biznes na zawrotną skalę. Waszyngton zaroił się od lobbystów, prawników i konsultantów obiecujących skazanym, że dzięki rozległej siatce kontaktów pomogą im załatwić akt łaski. Za zakończone sukcesem zabiegi liczą sobie nawet 3 mln dol. Pośrednicy stosują różne taktyki, żeby wpłynąć na Trumpa. Poza dostępem do administracji często oferują zaangażowanie influencerów – nie tylko po to, by wypromowali sprawę w Białym Domu, lecz by rozpuścili narrację, która najbardziej przemówi do głowy państwa. Szanse skazańca na wyjście z więzienia rosną, jeśli zdoła przekonać prezydenta, że mają wspólnych wrogów albo jest ofiarą nagonki na konserwatystów.

Większość pośredników to znajomi Trumpów lub byli urzędnicy Białego Domu. Na brak klientów nie może narzekać zwłaszcza Ches McDowell, lobbysta i kumpel z polowań Donalda Jr. Wśród osiągnięć McDowella jest m.in. uzyskanie ułaskawienia dla Changpenga Zhao, założyciela giełdy kryptowalut Binance, który w 2023 r. przyznał się do naruszenia przepisów o przeciwdziałaniu praniu pieniędzy.

Niektórzy brokerzy wykorzystują znajomości z prominentnymi postaciami ruchu MAGA. Jeden z głośnych przypadków dotyczy Josepha Schwartza, właściciela sieci domów opieki, skazanego na trzy lata więzienia za przestępstwa podatkowe. Dwa tygodnie po przyznaniu się do winy Schwartz wynajął za prawie milion dolarów Jacka Burkmana i Jacoba Wohla, lobbystów i prawicowych prowokatorów reklamujących się jako specjaliści od ułaskawień. Chwalili się dojściami do Laury Loomer, znanej orędowniczki teorii spiskowych mającej posłuch u Trumpa. Dzięki niej w kanałach społecznościowych MAGA wkrótce zaczęło huczeć o sprawie. Loomer opublikowała wpis, w którym przedstawiła ją jako przejaw „sądowej tyranii" i „rażącego antysemityzmu" (później zaprzeczała, jakoby ktoś jej za to zapłacił). W listopadzie 2025 r. prezydent anulował Schwartzowi karę.

W przeszłości wnioski o ułaskawienie składano w Departamencie Sprawiedliwości, gdzie tabun prawników analizował każdy przypadek, a potem przedstawiał swoje rekomendacje prezydentowi. Dziś ta procedura w dużej mierze istnieje już tylko na papierze. W drugiej kadencji Trumpa 70 proc. decyzji o ułaskawieniu zapadło z jej pominięciem.

Jednym z priorytetów demokratów ma być też rozliczenie korporacji technologicznych, które wyłożyły fundusze na budowę sali balowej Białego Domu i inne inicjatywy Trumpa. Mówiąc wprost: chodzi o zbadanie, czy datkami i hołdami spółki te kupiły sobie względy Białego Domu. „Wydrukujemy tyle wezwań na przesłuchania, że trzeba będzie zasadzić nowe lasy" – ostrzegł senator Ed Markey.

Przed komisją śledczą w pierwszej kolejności może się stawić Elon Musk, który szczodrymi wpłatami zapewnił sobie ogromne wpływy w Waszyngtonie. Najbogatszy człowiek świata jest modelowym przykładem zlewania się prywatnego biznesu ze strukturami państwa: gdy doradzał głowie państwa i rozmontowywał federalną biurokrację jako szef Departamentu Efektywności Rządu, to jego firmy – m.in. SpaceX, Tesla i xAI – zarabiały miliardy na zleceniach dla agencji państwowych.

Lista nieprawidłowości i korupcyjnych procederów, do których weźmie się w przyszłym roku nowa większość, jest znacznie dłuższa. Demokraci z pewnością nie odpuszczą ugody prezydenta z federalną skarbówką, która gwarantuje rodzinie Trumpów dożywotnią ochronę przed audytami ich starych zeznań podatkowych. Podobnie jak kontraktów przyznawanych bez przetargów zaprzyjaźnionym przedsiębiorcom.

Obiecują też ujawnić wszystkie e-maile Jeffreya Epsteina, milionera sutenera, który przez lata kierował grupą handlującą nieletnimi dziewczynami („Ich cudowne sekrety", DGP Magazyn na Weekend nr 143 z 25 lipca 2025 r.). W ubiegłym roku Kongres zmusił Departament Sprawiedliwości do opublikowania akt śledztwa, ale do tej pory udostępniono tylko ok. 3,5 mln z 6 mln stron dokumentów, na dodatek mocno ocenzurowanych. W tej sprawie kibicują demokratom nawet sympatycy MAGA. ©℗

Więcej tekstów tej autorki Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 6757e36917

Historia to nie wszystko

Październikowo-listopadowe rocznice obnażyły niemoc nowego węgierskiego rządu. Dyplomatyczny balonik pękł pod ciężarem absencji zachodnich przywódców na uroczystościach upamiętniających powstanie z 1956 r., a otwarciu archiwów towarzyszyły kontrowersje

Dominik

Héjj

Oczekiwania wobec obchodów 70. rocznicy powstania węgierskiego były ogromne. 23 października 2026 r. miał na trwałe zapisać się w historii. Już w kampanii wyborczej Péter Magyar zapowiadał spektakularne otwarcie dyplomatyczne, a budapeszteński plac Kossutha przed gmachem parlamentu, na który po latach powróciły oficjalne uroczystości, miał stać się na jeden dzień centrum europejskiej i światowej polityki. Dla rządu Magyara i obozu partii TISZA rzeczywistość okazała się jednak bolesnym rozczarowaniem.

Najważniejszymi gośćmi byli unijni liderzy: przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen oraz przewodniczący Rady Europejskiej António Costa. Oboje zabrali głos podczas uroczystej sesji Zgromadzenia Krajowego, która stanowiła centralny punkt obchodów z udziałem zagranicznych delegacji – przybyło ich łącznie 40. Dyplomatyczny balonik szybko jednak pękł, ponieważ reprezentacja w większości daleka była od najwyższego szczebla.

Największym zaskoczeniem była obecność przewodniczącego Rady Najwyższej Ukrainy Rusłana Stefańczuka. To czytelny znak ocieplenia relacji. W październiku ukraiński parlament przyjął ustawę o edukacji mniejszości narodowych, spełniając jeden z kluczowych postulatów Budapesztu i otwierając drogę do normalizacji stosunków. Nawet ten kompromis nie wystarczył jednak, by nad Dunaj przyjechał prezydent Zełenski.

Najwyższym rangą przedstawicielem polskich władz w Budapeszcie był marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty. Nad Dunaj nie przybyli ani prezydent Karol Nawrocki (reprezentowany przez szefa KPRP Zbigniewa Boguckiego), ani premier Donald Tusk, który w tym czasie składał wizytę w Indiach. Na uroczystościach pojawili się natomiast prezydent Mołdawii Maia Sandu, a także budzący kontrowersje premier Gruzji Irakli Kobachidze.

Dyplomatyczna wpadka

Péter Magyar już nazajutrz po wyborach mówił, że podczas rozmów gratulacyjnych zapraszał zagranicznych przywódców do Budapesztu na październikowe obchody. Magyar mierzył wysoko: zaproszenia wystosował m.in. do Recepa Tayyipa Erdoğana oraz Emmanuela Macrona. Wokół tego ostatniego doszło zresztą do największego dyplomatycznego zgrzytu. Premier w jednym z wywiadów wprost zapowiedział obecność prezydenta Francji. Francuska ambasada oficjalnie zdementowała te doniesienia, informując, że wizyta Macrona nad Dunajem w ogóle nie była brana pod uwagę.

Strategiczne znaczenie miała mieć również obecność wysokiego rangą przedstawiciela Waszyngtonu – najlepiej prezydenta – co miało dowodzić utrzymania dialogu z Amerykanami przez ruch wybitnie niemagowski. Plan spalił na panewce. Opozycja z Fideszu i KDNP zarzuciła nowej ekipie kompletną indolencję. Jak ustalił Sándor Zsíros z węgierskiej redakcji Euronews, część oficjalnych zaproszeń rozesłano dopiero we wrześniu, gdy kalendarze większości światowych liderów były już dawno zamknięte.

Na same obchody złożyło się kilka symbolicznych wątków. Przede wszystkim warto odnotować obecność premiera oraz szefa jego kancelarii Bálinta Ruffa na parceli 301 Nowego Cmentarza Komunalnego w Budapeszcie – w miejscu spoczynku bohaterów rewolucji 1956 r. Przez dekady mimo kolejnych okrągłych rocznic próżno było tam wypatrywać kogokolwiek z otoczenia szefa rządu. W przededniu święta narodowego, podczas wystąpienia na Placu Józefa Bema Péter Magyar zapowiedział utworzenie „prawdziwego muzeum 1956 r.", które ma oddać hołd ofiarom, powstańcom i bezimiennym bohaterom. Nie sprecyzował jednak żadnego harmonogramu prac. Wbrew oczekiwaniom premier nie zadeklarował również reaktywacji Instytutu 1956 Roku – zasłużonej placówki badawczej zdemontowanej w minionych latach przez rządy Fideszu.



FOT. AURORE MARTIGNONI/KE/UE

Ursula von der Leyen, szefowa KE, na uroczystościach 70. rocznicy węgierskiego powstania z 1956 r. Budapeszt, 23 października 2026 r.

Podczas uroczystej sesji Zgromadzenia Krajowego głos zabrali m.in. węgierska głowa państwa oraz przewodniczący Komisji Europejskiej i Rady Europejskiej. Zwraca uwagę fakt, że prezydent András Baka dziękował wszystkim narodom wspierającym Węgrów w kraju, a także niosącym pomoc uchodźcom. Nie wspomniał bezpośrednio o kluczowej roli Polski i polskim wsparciu, które miało przecież bezprecedensową skalę. Z kolei zarówno Ursula von der Leyen, jak i António Costa w wystąpienia poświęcone bohaterom 1956 r. wpletli odniesienia do współczesności – w tym do wiosennego sukcesu partii TISZA. Dość brawurowym zabiegiem okazało się zestawienie walki o wolność z lat 50., za którą płacono życiem, z decyzją podjętą przy urnach wyborczych 12 kwietnia. Sama szefowa Komisji Europejskiej odegrała podwójną rolę – z jednej strony reprezentowała instytucję, z którą kompromis odblokował Węgrom unijne miliardy, z drugiej zaś jej obecność miała zrekompensować absencję innych przywódców z Europy.

Archiwa do wglądu

Druga symboliczna data przypada 4 listopada. Tego dnia w 1956 r. wojska sowieckie przypuściły ostateczny szturm na Węgry – po tym, jak 1 listopada premier Imre Nagy ogłosił neutralność kraju i wystąpienie z Układu Warszawskiego – krwawo dławiąc powstanie. W środę 4 listopada przed południem rząd partii TISZA odtajnił archiwa komunistycznej bezpieki, udostępniając je w otwartej bazie internetowej. To krok bezprecedensowy, ponieważ Węgry nigdy dotąd nie przeprowadziły systemowego rozliczenia z okresem komunistycznym, nie było żadnej lustracji. Nie wszystkie materiały ujrzą jednak światło dzienne ze względu na zniszczenie części zasobów.

Do sieci trafiły kartoteki ewidencyjne, raporty z werbunków oraz listy agentury i tajnych informatorów – łącznie blisko 60 tys. nazwisk. Z kolei dane wrażliwe ofiar zostały zanonimizowane. Przyjęta przez rządzących ustawa gwarantuje osobom represjonowanym i ich potomkom prawo do wnoszenia sprostowań oraz komentarzy, które będą dołączane do zdigitalizowa-

eprasa.pl 6757e36917



nych akt. W intencji pomysłodawców ma to posłużyć narodowemu pojednaniu „bez pochopnego osądzania dawnych postaw". Nie uniknięto jednak pomyłek. W aktach znalazło się 160 nazwisk osób oskarżonych o współpracę ze służbami komunistycznymi, jednakże bezpodstawnie. Wśród nich – Sándor Lezsák z Fideszu, były wiceprzewodniczący Zgromadzenia Krajowego, który ma status osoby inwigilowanej. TISZA w sprawie pomyłek milczy, jednakże dyrektor Archiwum Historycznego Służby Bezpieczeństwa Państwa podał się do dymisji.

Orbán uprzedza atak

Pierwszym, który skorzystał z prawa do skomentowania dokumentów ze swojej teczki, był były premier Viktor Orbán. Jeszcze 3 listopada opublikował obszerne oświadczenie, w którym przypomniał, że począwszy od 1982 r. (od czasu jego zasadniczej służby wojskowej) bezpieka wielokrotnie próbowała go zwerbować, lecz jak sam podkreśla, nigdy nie uległ presji. Werbunek prowadził Wydział III/III-2 (jednostka odpowiedzialna m.in. za inwigilację młodzieży akademickiej i wojskowej). Wobec fiaska tych prób służby rozpoczęły inwigilację: późniejszego lidera Fideszu objęto stałą obserwacją, śledzono go i założono podsłuch w jego mieszkaniu.

Jak zauważa Dóra Patakfalvi, dziennikarka portalu Telex, „domniemana agenturalna przeszłość przewodniczącego Fideszu wraca od czasu transformacji ustrojowej i co rusz na chwilę rozgrzewa węgierską debatę publiczną". Wątek ten pojawił się już podczas kampanii przed pierwszymi wolnymi wyborami w 1990 r., a z jeszcze większą siłą uderzył osiem lat później, gdy Fidesz po raz pierwszy sięgał po władzę. Sam Orbán upublicznił dokumenty poświadczające jego inwigilację już w 2005 r., będąc wówczas w opozycji. Dziś robi to po raz trzeci. Ucieczka do przodu? Próba narzucenia własnej narracji?

Problem w tym, że za rządów Fideszu i KDNP regularnie powracał temat domniemanych „moskiewskich teczek" oraz kompromatów zdeponowanych w archiwach na Łubiance, co krytycy traktowali jako klucz do zrozumienia uległości Budapesztu wobec Kremla. Tajemnicę tę może rozwikłać zapowiadana książka dziennikarza śledczego Szabolcsa Panyiego, poświęcona kulisom węgiersko-rosyjskiego zbliżenia.

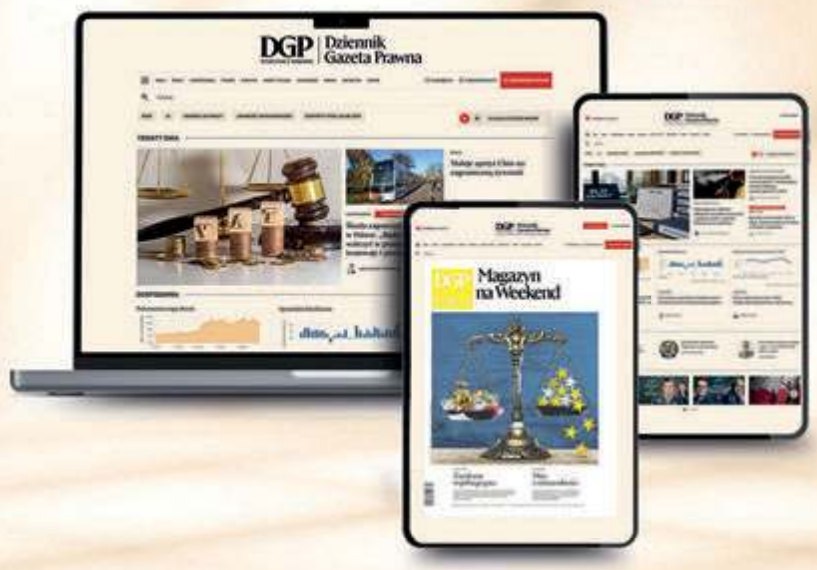
Październikowo-listopadowe rocznice obfitowały w symbole, lecz także obnażyły niemoc nowego rządu. Dyplomatyczny balonik pękł pod ciężarem absencji zachodnich przywódców, a pytanie o skutki otwarcia archiwów wciąż pozostaje otwarte. Czy zabieg ten obudzi dawne upiory, czy pozwoli rozliczyć trudną przeszłość? Jedno jest pewne: konfrontacja z historią okaże się dla Magyara równie trudna jak wygranie wyborów ©℗

AUTOPROMOCJA

DGP

Subskrybuj
29 zł
za miesiąc

To mniej niż 1 zł / dziennie
przez 3 miesiące



blik
Z Płatnościami
powtarzalnymi BLIK

Subskrybuj na:
dgp.pl/subskrypcja

eprasa.pl 6757e36917

Chodziły po mnie szczury

W Wenezueli zmieniła się tylko fasada. W wielu stanach ludzie nadal muszą przez 8–14 godzin dziennie radzić sobie bez prądu. Miliony mają problemy z dostępem do bieżącej wody

Z Jesúsem Armasem

Monasteriosem

rozmawia Sebastian Stodolak



Uwolnił pana Donald Trump.
Tak. Gdyby 3 stycznia Amerykanie nie aresztowali Madura, bez wątpienia nadal byłbym w więzieniu. Choć zanim wyszedłem na wolność, minął jeszcze miesiąc.

Jest pan obecnie w Caracas?
Tak. Wiem, że spóźniłem się na rozmowę. Przepraszam. Mamy tu przerwy w dostawach prądu. W okolicy coś się przepaliło.

Był pan więźniem przez...
...14 miesięcy.

Więźniem politycznym, jakich w Polsce od 1989 r. już nie ma.
Byłem działaczem politycznym, odkąd skończyłem 17 lat. Od początku wiedziałem, że mogę trafić za kratki. Należałem do samorządu studenckiego i byłem jednym z liderów ogólnokrajowego ruchu studenckiego, który w 2007 r. wyszedł na ulice, by walczyć o wolność słowa. Hugo Chávez próbował wówczas zamknąć największą stację telewizyjną w kraju. Następnie założyłem organizację pozarządową, która uczyła młodzież, jak organizować się przeciwko dyktaturze w pokojowy sposób. Inspirowałem się Gandhim, ruchem Otpor czy Martinem Lutherem Kingiem. W końcu zrozumiałem, że muszę zrobić więcej, więc wstąpiłem do partii. W 2013 r. zostałem najmłodszym w historii radnym rady miasta Caracas.

Do jakiej partii pan należy?
Primero Justicia. W 2023 r. María Corina Machado mianowała mnie organizatorem swojej kampanii w Caracas. Gdy rząd uniemożliwił jej start w wyborach prezydenckich, poparła Edmundo Gonzáleza Urrutię. 28 lipca 2024 r., czyli w dniu głosowania, Nicolás Maduro zainicjował największą falę represji w historii Wenezueli. W ciągu zaledwie dwóch tygodni uwięził ponad 2 tys. osób zaangażowanych w politykę, a także zwykłych ludzi, którzy wyszli na ulice, by głośno sprzeciwić się wyborczemu oszustwu.

Był pan jedną z tych osób.
Na mnie polowali dłużej. Ukrywałem się przez pięć miesięcy. Z kryjówki organizowałem kolejne protesty, więc minister spraw wewnętrznych o mnie nie zapomniał. Straciłem czujność. 10 grudnia byłem nieco rozkojarzony i bardzo zdenerwowany, więc postanowiłem napić się kawy w kawiarni we wschodniej części Caracas. Gdy wyszedłem, czekało na mnie ośmiu funkcjonariuszy policji wywiadowczej Nicolása Madura. Zatrzymali mnie, skuli kajdankami, założyli kaptur i wsadzili na tył ciężarówki. Wiedzieli, gdzie jestem, bo wcześniej porwali mojego najlepszego przyjaciela, który w ogóle nie angażuje się w politykę. Wysłałem mu wiadomość, że będę w tej kawiarni i jeśli chce, to może przyjść.

Zawieźli pana do słynnego El Helicoide, aresztu dla więźniów politycznych?
Najpierw zabrano mnie do domu w samym centrum dzielnicy mieszkalnej, który wykorzystywano do wymuszania okupu i torturowania więźniów. Posadzili mnie na plastikowym krześle i rozpoczęli przesłuchanie. Chcieli się dowiedzieć, gdzie przebywa Juan Pablo Guanipa, osoba numer dwa w wenezuelskiej opozycji. Nic nie mówiłem, więc nałożyli mi na twarz plastikową torbę i przyduszali.

Nic pan nie mówił, bo nie wiedział?
Wiedziałem. Juan Pablo Guanipa mieszkał ze mną. Razem się ukrywaliśmy. Na szczęście María Corina publicznie ogłosiła, że zostałem porwany przez dyktaturę i zaprzestano tortur. Przewieziono mnie do małej celi, w której przebywałem z 37 innymi więźniami, zwykłymi przestępcami, np. przywódcami gangów. Musieliśmy spać na podłodze, choć dla wszystkich nie wystarczyło miejsca. Niektórzy próbowali więc zasnąć na stojąco, opierając się o ścianę. Nie mieliśmy łazienki, więc musieliśmy używać torebek. Kiedy spaliśmy, chodziły po nas szczury. Dopiero po tygodniu wylądowałem w El Helicoide.

W lutym 2025 r. na łamach DGP pisałem: „Wysoką cenę za walkę o wolność płaci właśnie Jesús Armas Monasterios, młody Wenezuelczyk, uprowadzony przez ludzi reżimu Nicolása Madura". Nikt wtedy nie wiedział, czy pan żyje.
Bo byliśmy całkowicie odcięci od świata. Nie mieliśmy możliwości rozmawiania z innymi więźniami, nikt nie mógł nas odwiedzać, do nikogo nie mogliśmy dzwonić.

Postawiono panu jakieś zarzuty?
Tak. Pięć. Terroryzm, finansowanie terroryzmu, spiskowanie z innymi krajami przeciwko rządowi, zdrada ojczyzny i współdziałanie z innymi osobami w celu popełniania przestępstw.

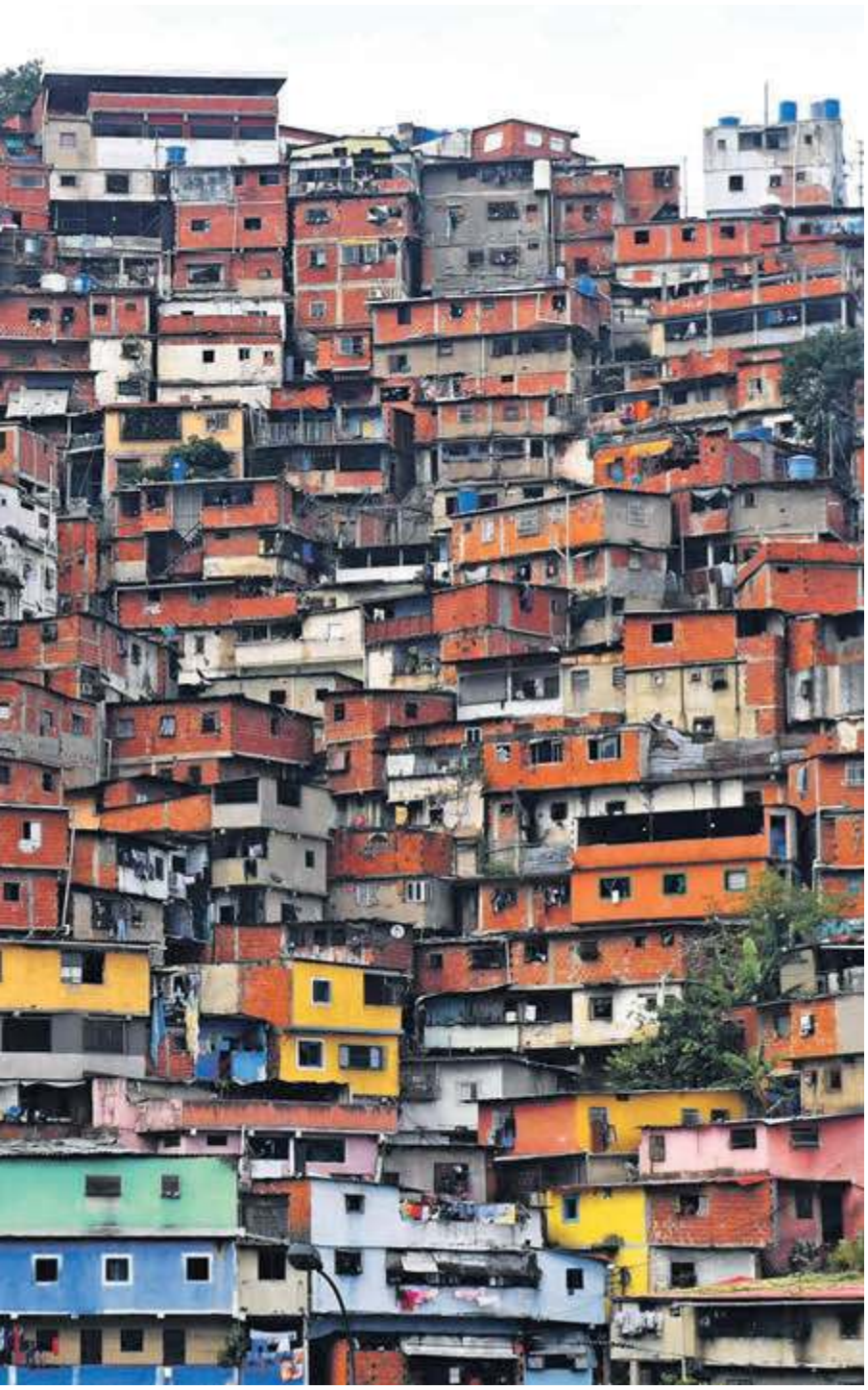
Jak na ironię, są to podobne zarzuty, które rząd USA stawia Nicholásowi Madurze.
To zabawne, ale w tragiczny sposób.

Czy wszyscy więźniowie polityczni przeżyli areszt?
Nie. Jeden z moich najbliższych przyjaciół w El Helicoide Alfredo Díaz, który był gubernatorem stanu Nueva Esparta, zmarł. Przeżył w areszcie dwa zawały serca, ale pozostawiono go bez opieki medycznej. Nie jest jedyny. W ciągu ostatnich 20 lat w El Helicoide i w innych ośrodkach tortur w Wenezueli zmarło wielu ludzi. Proszę pamiętać, że wciąż mamy ok. 300 więźniów politycznych.

Dlaczego ich dalej przetrzymują?
Delcy Rodriguez wykorzystuje ich jako kartę przetargową w negocjacjach, m.in. z USA. Poza tym niektórzy więźniowie polityczni dawniej służyli w armii lub siłach bezpieczeństwa, więc Rodriguez się boi, że po uwolnieniu zorganizowaliby zamach stanu. Prawda jest jednak taka, że ci ludzie po prostu chcą wyjść na wolność. Nie chcą knuć spisku. Nie mają na to siły.

Jak przetrwał pan areszt?
Po pierwsze, przeżyłem, bo przerwano tortury. Zrobiono to także pod wpływem presji społecznej i głosów poparcia dla mojego uwolnienia, które spływały z instytucji na całym świecie. To okazało się naprawdę ważne. Wielu funkcjonariuszy policji wywia-

eprasa.pl 6757e36917



FOT. FEDERICO PARRA/AFP/EAST NEWS

Miasto Petare w aglomeracji Caracas, jeden z największych slumsów w Wenezueli

dowczej, zwłaszcza tych młodszych, po prostu bało się mnie źle traktować. Po drugie, ważne było poczucie celu. Wiedziałem, o co walczę i w pewnym sensie byłem przygotowany psychicznie na aresztowanie. Co więcej, przez wiele lat słuchałem relacji przyjaciół z pobytu w więzieniach. Dzięki temu rozumiałem, jak one funkcjonują. Wiedziałem, jak sobie radzić ze strażnikami, brakiem wody i jedzenia, a nawet ze szczurami. Z psychologicznego punktu widzenia kluczowy był dla mnie dostęp do książek. Akurat tego mnie nie pozbawiono.

Czy w Wenezueli zachodzą jakieś głębokie zmiany, czy zmieniła się jedynie fasada?

Myślę, że zmienia się tylko fasada. Delcy Rodríguez próbuje się przedstawiać jako osoba, która chce budować demokratyczny kraj, co nie jest prawdą. Była prawą ręką Nicolása Madura, wiedziała o wszystkich jego zbrodniach. Jest przestępczynią uwikłaną w naruszenia praw człowieka i korupcję. To właśnie ona nawiązała wiele z kontaktów handlowych między Wenezuelą a Chinami, Iranem a Kubą, gdy pełniła funkcję minister ds. ropy naftowej. Rodriguez chce uchodzić za pragmatyczną, technokratyczną przywódczynię, ale w rzeczywistości jest niekompetentna. Wenezuelczycy wciąż głodują. W wielu stanach ludzie muszą przez 8–14 godzin dziennie radzić sobie bez prądu. Miliony mają problemy z dostępem do bieżącej wody. W stanach takich jak Nueva Esparta czy Sucre potrafią tak żyć nawet miesiąc.

Czy Delcy Rodriguez ma rzeczywistą władzę?

Z każdym dniem jej pozycja polityczna słabnie. Wielu zwolenników starego reżimu nią gardzi, bo wcześniej wmawiała Wenezuelczykom, że sprzeciwia się amerykańskiemu imperium. Obecnie jest marionetką Stanów Zjednoczonych i za plecami obywateli prywatyzuje przemysł naftowy oraz wiele innych gałęzi przemysłu. Popieram prywatyzację i sojusz z USA, zaś ludzie wywodzący się z kręgów socjalistycznych, dawni chaviści, są temu zdecydowanie przeciwni. Rodriguez straciła część swoich zwolenników, a jednocześnie jest znienawidzona przez demokratyczną część społeczeństwa, czyli większość kraju.

Utrzymuje się u władzy tylko dzięki Stanom Zjednoczonym. Dobrze to interpretuję?

Tak. Tyle że Rodriguez jest tak niekompetentna, że nawet Stany Zjednoczone nie mają z niej większego pożytku. Nie potrafi wprowadzić prorozwojowych reform, które zachęciłyby do inwestycji amerykańskie firmy. Praworządność u nas wciąż nie istnieje, prawa własności nie są respektowane. Niemniej to Rodriguez rządzi w kraju, a jej brat Jorge oraz Diosdado Cabello sterują aparatem represji.

Przed schwytaniem Madura Wenezuela utrzymywała bliskie relacje z Rosją i Chinami. Czy kraje te już całkowicie straciły wpływy na rzecz USA?

Straciły wpływy polityczne, ale władza nadal ma powiązania gospodarcze z Chinami. Rodriguez jest wyspecjalizowana w budowaniu sojuszy z autorytarnymi rządami. Obecnie po prostu próbuje zyskać na czasie i przetrwać prezydenturę Trumpa. Liczy, że w przyszłości uda się jej nawiązać lepsze stosunki z demokratami, którzy nie postąpią z nią tak jak Trump z Madurem. Ona chce władzy, a nie demokracji.

Jakie jest pana zdanie na temat polityki amerykańskiej wobec Wenezueli?

Stosunki ze Stanami Zjednoczonymi są naprawdę dobre. Prezydent Donald Trump i sekretarz stanu Marco Rubio okazali szacunek Maríi Corinie Machado, wspierali jej powrót na scenę polityczną. Biorąc pod uwagę ostatnie wypowiedzi Rubia, sądzę, że w najbliższych miesiącach otworzy się przed nami droga do demokracji.

Wierzy pan, że w Wenezueli odbędą się uczciwe wybory?

W grudniu zostaną powołane nowe składy sędziowskie w Sądzie Najwyższym. Stworzy to warunki dla utworzenia nowego rządu i zwołania wyborów prezydenckich w 2027 r.

Amerykanie chwalą się, że dzięki zmianie reżimu uzyskali dostęp do ogromnych złóż ropy. Co się dzieje w wenezuelskim sektorze naftowym?

Prywatyzacja, która trwa obecnie, jest konieczna. To dobrze, że wielkie koncerny naftowe zaczynają działać w Wenezueli. Potrzebujemy ich, by rozwijać przemysł naftowy i poprawić relacje ze światem. Naszym celem powinno być przekształcenie Wenezueli w centrum energetyczne Ameryk, a być może całego świata zachodniego. Mamy jedne z największych zasobów gazu ziemnego na świecie. Niestety, zachodnie koncerny wciąż czekają na rozwój sytuacji. Chcą wejść do wenezuelskiego sektora energetycznego, szukają pól naftowych i próbują zdobyć prawa do eksploatacji złóż, ale jak dotąd praktycznie nic nie zainwestowały. Chevron, największy producent ropy w Wenezueli, nie lokuje tu świeżego kapitału. Nie dlatego, że nie chce, lecz z powodu słabości prawa i instytucji. Nie ma żadnych gwarancji praw własności. Firmy takie jak Exxon czy ConocoPhillips zostały w przeszłości wywłaszczone, a ich aktywa skonfiskowane. Obawiają się więc inwestować w kraju, którym rządzi osoba związana z obozem odpowiedzialnym za wywłaszczenia. To może się zmienić, gdy będziemy mieć nowy, prawdziwie demokratyczny rząd. To dla nas wielka szansa.

Mówi pan, że sytuacja Wenezuelczyków się nie poprawia.

Z jednej strony mamy większą wolność słowa, a wielu więźniów politycznych zostało uwolnionych, z drugiej – sytuacja materialna zwykłych ludzi z każdym dniem się pogarsza. Wenezuelczycy bardzo cierpią.

W takich warunkach socjaliści podnoszą głowy.

Tym razem to się raczej nie wydarzy. Rodriguez popiera mniej niż 10 proc. społeczeństwa. Najwięcej sympatyków ma María Corina Machado. Według mnie może zdobyć 85–90 proc. głosów.

To poparcie wynika z rzeczywistej wiary w jej program czy raczej jest wyrazem desperacji?

Bardziej wiary. Jeszcze kilka tygodni temu byliśmy rozczarowani i zaniepokojeni. Nie widzieliśmy realnej drogi do demokracji. Jednak po powrocie do kraju Maríi Coriny Machado ruch demokratyczny w Wenezueli odzyskał energię.

Jest pewne, że Waszyngton będzie wspierał ją, a nie Delcy Rodriguez?

Myślę, że Waszyngton rozumie, iż to właśnie Maria Corina cieszy się społecznym poparciem i jest najlepszą partnerką do kształtowania polityki bezpieczeństwa na zachodniej półkuli. To ona może również stworzyć w kraju warunki sprzyjające inwestycjom.

Czy w Wenezueli są jeszcze prawdziwi zwolennicy chavizmu?

Tak, ale to mniej niż 10 proc. społeczeństwa.

Co się stanie z pana krajem?

Największym wyzwaniem jest czas. Musimy jak najszybciej przeprowadzić wybory prezydenckie. Mam nadzieję, że po nich Wenezuela stanie się najważniejszym krajem w regionie i najlepszym partnerem dla zachodnich demokracji. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jesús Armas

Monasterios

wenezuelski opozycjonista porwany przez ludzi reżimu Nicolása Madura

eprasa.pl 6757e36917

Kultura



FOT. PIOTR LITWIC/NETFLIX/MAT. PRASOWE

Kadr z serialu „Matki pingwinów" z 2024 r.

Do obejrzenia bez znieczulenia

O tym, o czym do niedawna nie wypadało głośno mówić, dziś otwarcie opowiadają seriale. Przełamują schematy i pokazują inne niż stereotypowe wersje życia

Konrad

Wojciechowski

Ciąża była dla Eweliny wyczekanym szczęściem. Długo z mężem starali się o dziecko. Kiedy w czasie badań prenatalnych okazało się, że u syna rozpoznano zespół Downa, cały świat się jej zawalił. Zaczęła widzieć przyszłość w ponurych barwach. Dziecko będzie narażone na problemy zdrowotne. A co, jeśli po urodzeniu lekarze stwierdzą wadę serca? Jak sobie z mężem poradzą z trudnościami w jego rozwoju? Czy wystarczy im cierpliwości? Czy nauczą się z tym żyć? Czy wychowanie kogoś, kto potrzebuje szczególnej uwagi, nie przerośnie ich małżeństwa?

Myśli Eweliny zaprzątała jeszcze reakcja społeczna. Jak o tym poinformować dziadków? Co powie najbliższa rodzina? Zrozumie czy się odsunie? A jak już syn podrośnie i pójdzie do szkoły, to jak zareagują rówieśnicy i czy nie dadzą mu odczuć, że jest inny, gorszy i nie nadąża za grupą?

Kiedy Mateusz miał trzy lata, na Netflixie wystartował serial „Matki pingwinów". Ewelina oglądała każdy odcinek. – Chociaż to serial fabularny, a nie dokument, potraktowałam go jako instrukcję obsługi własnego życia. Filmowi rodzice są dalecy od ideału. Widać bezradność w ich poczynaniach, niepewność, słabość i brak odporności na reakcje otoczenia, często osób bliskich, które nie potrafią się pogodzić z obecnością takiego dziecka w rodzinie i sugerują utrzymywać ten fakt jak najdłużej w tajemnicy przed wszystkimi – dzieli się swoimi przemyśleniami. Kolejne odcinki uświadomiły jej, że nie jest sama. I że nie musi się obwiniać o niepodołanie trudnym wyzwaniom, jeśli nie czuje się na siłach, by im sprostać. Co więcej, urodziła syna w czasach, które sprzyjają przerywaniu milczenia. Inaczej niż w latach młodości jej mamy.

Serialowi rodzice uświadomili Ewelinie coś jeszcze. Można myśleć o sobie, nie zapominając o dziecku. – Po trzech latach pielęgnowania Mateusza zaczęłam znowu dbać o siebie. Odnowiłam karnet na jogę, raz w miesiącu idę z koleżankami na miasto i urządzamy sobie babski wieczór. Ten serial uczy nas, opiekunów, aby nie przeżywać w nieskończoność żałoby po narodzinach dziecka, które zawiodło rodzicielskie oczekiwania, tylko zaakceptować aktualny stan rzeczy. Co więcej, daje do myślenia ludziom dookoła, że skazywanie tych ojców i matek na widowiskową pokutę na oczach społeczeństwa i oczekiwanie od nich cierpienia jest bardzo krzywdzące – mówi Ewelina.

Bohaterowie wracają z marginesu

Przekraczanie tabu w popkulturze jest formą niepisanej umowy społecznej między twórcą a odbiorcą. Jeśli widz jest gotowy na nowe doświadczenia, autor obrazu, plakatu czy serialu czuje się ośmielony do prezentacji treści, na które wcześniej nie było zgody w mainstreamie. Albo temat wręcz nie funkcjonował w publicznym obiegu, bo większość nie chciała zdać sobie sprawy z jego obecności.

Doktor Małgorzata Bulaszewska, medioznawczyni z Uniwersytetu SWPS, proponuje krótką podróż w czasie – do lat 70. poprzedniego wieku, kiedy telewizja nie bombardowała widza „trudnymi sprawami". – Można było ulec wrażeniu, że nie ma wokół nas osób niepełnosprawnych, ponieważ kinematografia o nich się nie upominała. Jeśli byli pokazywani na ekranie, to nie w rolach pierwszoplanowych. Twórcy filmów czy seriali spychali ich na margines. Dużo czasu upłynęło, zanim osoby nienormatywne zdrowotnie stały się głównymi bohaterami bardzo znanych produkcji. W Polsce nastąpiło to stosunkowo niedawno, o czym najlepiej świadczy popularność serialu „Matki pingwinów" – mówi dr Bulaszewska.

W serialu mamy chłopca w spektrum autyzmu, dziewczynkę z zespołem Downa czy dziecko poruszające się na wózku inwalidzkim. A rodzice nawet nie udają supermanów z bajki, którzy świetnie zarządzają sytuacją kryzysową. Są bezradnie ludzcy. Matka z oktagonu, silna w ringu podczas walk, musi uznać wyższość losu. Druga jest królową Instagrama, ma zasięgi, umie nagłaśniać wypierane społecznie tematy, ale nie skonstruuje córce bezpiecznego świata i nie kupi jej sympatii czy zbiorowej przychylności za cenę lajków na Facebooku.

– W odbiorze społecznym serial wzbudził dysonans. Z jednej strony wielu widzów przyjęło z zachwytem to, że ktoś wreszcie ruszył przemilczany temat. Wzruszeniu nie było końca. Z drugiej strony pojawiły się opinie, wręcz zarzuty o sprzyjanie wizji elitarnej grupy matek, które mają pieniądze

eprasa.pl 6757e36917

i kontakty, aby skutecznie rozdmuchać temat dziecięcej niepełnosprawności i rodzicielskiego zagubienia – przypomina medioznawczyni. Próbom przekraczania tabu towarzyszy dwugłos: słychać aplauz ze strony widza otwartego na poznanie cudzej perspektywy, ale i podejrzliwość tych wszystkich, dla których wprowadzanie do debaty publicznej nieoswojonych wątków pachnie niepotrzebną rewolucją.

Amerykańska lekcja tolerancji

Stereotypy przełamuje się stopniowo. To żmudny proces. Jeszcze przez chwilę zatrzymajmy się w latach 70. – Zobaczmy, jak wyglądało polskie kino familijne w tamtym czasie – proponuje dr Bulaszewska. – Wielką popularność osiąga „Czterdziestolatek". Kogo widzimy? Typową polską rodzinę z heteroseksualnymi rodzicami. Państwo Karwowscy mają dwoje dzieci obojga płci – syna i córkę. Wszystko tu pasuje do oczekiwanego wzoru. Ma być klasycznie i jest. Standaryzacja w pełnej krasie.

W połowie kolejnej dekady napotykamy alternatywne modele rodzinne. Telewizja Polska nadaje popularne seriale amerykańskie, jakże odmienne od rodzinnej urawniłowki kultywowanej w „Czterdziestolatku". Widzowie nad Wisłą oglądają „Pełną chatę" – komediową opowieść o młodym wdowcu, któremu w wychowaniu trzech córek pomaga szwagier oraz dawny przyjaciel ze szkoły. Ktoś powie: to tylko żartobliwa fikcja, która ma wyostrzyć zabawne perypetie bohaterów. A jednak instytucja rodziny zostaje poddana radykalnej redefinicji, jak w innej komedii z tego okresu – „Trzech mężczyzn i dziecko". Można się zanosić śmiechem, jednak duża oglądalność „Pełnej chaty" świadczy o tym, że wielu widzom ta osobliwa wersja rodziny (trzech opiekunów do trzech córek) nie wydała się na tyle gorsząca, aby w geście protestu wyłączać telewizor.

W 1986 r. premierę w TVP ma również serial „Alf". Tu centralną postacią w – pod innymi względami klasycznej – rodzinie jest tytułowy przybysz z kosmosu. Dosyć zabawny i niegroźny, bo podobny z wyglądu do pluszowej maskotki, ale jednak intruz. – Ten futrzak jest pełnoprawnym członkiem rodziny. Przyjacielski, chociaż z zupełnie innej planety. Obcy, którego nie musimy się obawiać. Jest jednym z nas, mimo że nie wygląda tak samo. Jaka płynie z tego podprogowa konkluzja? Nie wszystkie rodziny są takie same – dodaje medioznawczyni.

Z podobnym schematem mamy do czynienia w serialu „Dzień za dniem". To opowieść o rodzinie Thatcherów, którzy mają dwoje dzieci – córkę Beccę i syna Corky'ego. Corky jest niepełnosprawny, jednak rodzice nie dają mu tego odczuć. Posyłają chłopca do zwykłej szkoły średniej, z czym nie do końca jest pogodzona Becca. Obawia się, że brat z zespołem Downa będzie dyskredytował ją w oczach rówieśników. Emitowany przez cztery sezony na antenie TVP 1 na początku lat 90. „Dzień za dniem" oswoił widzów z widokiem niedemonizowanej dziecięcej niepełnosprawności rozwojowej. I kiedy niedługo później w serialowej rodzinie Lubiczów pojawił się Maciek, obecność dzieci z zespołem Downa w przestrzeni publicznej czy familijnej nie stanowiła dla obywateli przed telewizorami niestrawnej egzotyki.

Przełamywanie społecznych oporów przychodzi łatwiej, jeśli narrator potrafi znaleźć z widzem wspólny język. Jak pokazuje serialowa praktyka, o rzeczach trudnych lepiej opowiadać w sposób humorystyczny, bez dydaktycznej agresji, z przymrużeniem oka. Tak jak robili to twórcy „Rodziny zastępczej" – innej komediowej produkcji, która przez 10 lat obecności na antenie Polsatu uświadamiała Polakom, czym jest rodzina patchworkowa. Serialowi Kwiatkowscy dorobili się dużej gromadki. Mieli dwójkę biologicznych dzieci (córkę i syna) oraz kilkoro przybranych, w tym dwie córki: mulatkę i Azjatkę oraz chłopca o romskich korzeniach. – Serial złamał barierę adopcji o profilu jedynie narodowościowym. Kwiatkowscy byli bardzo nietypową polską rodziną. Ukazana w komediowej konwencji uniknęła stygmatyzowania. Dziś adopcja jest czymś naturalnym, tak jak funkcjonowanie patchworków i obecność rozwodników w naszym towarzyskim otoczeniu. Seriale przyniosły nam nową normalność, ale i społeczeństwo ewoluowało. Jest do takich dyskusji dojrzalsze mentalnie – uważa dr Bulaszewska.

Kiedy pęka tama milczenia

A tematów do rozmów przybywa, tak jak serialowych tytułów. Premiera goni premierę. Platformy streamingowe potrzebują kontentu, aby przyciągać uwagę użytkowników. Magnesem jest wstrząsająca i dobrze opowiedziana historia. Nie ma tematów niewartych dyskusji. Współczesne seriale mówią o lokalnej zmowie milczenia bez względu na koszty społeczne („Ołowiane dzieci"), o stawianiu czoła homofobii („Proud"), o wyzwalaniu kobiecej seksualności („Sexify") czy o emancypacji seksworkerek w czasach niesprzyjających szukaniu niezależności („Brokat").

Skąd ta odwaga w doborze serialowej tematyki? Czy ma pokoleniowe zabarwienie i jest bliższa twórcom w średnim wieku oraz młodszym rocznikom reżyserów i scenarzystów, często na dorobku, którzy nie muszą pielęgnować reputacji i renomy?

– Nie sądzę, żeby to była domena wyłącznie młodych twórców – protestuje Magdalena Bród, redaktor naczelna portalu Serialowy.pl. – Odwaga w serialu zależy w dużej mierze od tego, czy producent i platforma są gotowi zaryzykować. Młodsi rzeczywiście swobodniej mówią o tożsamości czy seksualności, ale ważniejsze wydaje mi się to, że zmieniła się widownia. Ludzie, którzy kiedyś przełączyliby kanał, dziś sami szukają takich historii. Seriale nie tyle przełamują tabu, ile trafiają w moment, w którym jesteśmy gotowi o nim rozmawiać. A potem tę rozmowę przyspieszają.

Mieszania odwagi do przekraczania tabu z metryką narratorów woli też unikać Magdalena Wleklik – dramatopisarka i reżyserka, która pisała scenariusze i dialogi do popularnych seriali, tj. „Plebania" i „Brzydula". – Różnica tkwi raczej w narzędziach, jakimi dysponują twórcy z różnych pokoleń do opowiadania o człowieku i świecie, oraz w tym, co osobiście scenarzysta czy reżyser uważa za nienaruszalne tabu. Mówiąc o narzędziach, mam też na myśli precyzyjną wiedzę z kategorii nauk psychologicznych i społecznych, np. przemoc instytucjonalną, tożsamość czy mobbing. Czasem odwaga filmowca to próba rozliczenia bezkarności dawnych elit i urzędników, tak jak w „Ołowianych dzieciach", a czasem subtelna wiwisekcja rzeczywistości, na którą stać tylko twórców z dojrzałym doświadczeniem życiowym, tak jak w „Matkach pingwinów" – odpowiada Wleklik.

Uważa, że każda produkcja znajdzie swojego widza. A filmowiec nie ma obowiązku robić serialu na tematy, które go nudzą bądź przekraczają jego granice. Ponadto serial, zwłaszcza dostępny na popularnych platformach lub emitowany przez kilka sezonów w prime timie, staje się lustrem odzwierciedlającym społeczeństwo. A między nami mieszkają geje, obrońcy ojczyzny, katolicy i ateiści, nastolatki w trakcie psychoterapii i zradykalizowana młodzież z nożem w jednej dłoni i smartfonem w drugiej. O tym nie da się milczeć. Filmowiec kręci to, co widzi.

– Jeśli będziemy udawać, że Polska składa się wyłącznie z heteronormatywnych, zamożnych i wolnych od uzależnień rodzin, a rządzący nami politycy zawsze dbają o dobro i spokój społeczny, to szkodliwie zakłamujemy rzeczywistość. Wykreowanie serialowej postaci zmagającej się z traumą po doznanej przemocy czy będącej osobą heteronienormatywną nie jest przez filmowców traktowane jak odhaczanie ideologicznej listy obsady. Popularny serial o takiej tematyce potrafi zrobić więcej dobrego dla oswajania lęków i demaskowania tabu niż dziesiątki kampanii społecznych. Kiedy ukochany bohater milionów Polaków mówi: „idę na terapię", albo kiedy ojciec na ekranie akceptuje swoją homoseksualną córkę, to w tysiącach polskich domów pęka tama milczenia – komentuje Wleklik.

Serialowa wygoda

Na przełomie lat 70. i 80. polski film szczyci się kinem moralnego niepokoju. To na wielkim ekranie toczy się dyskusja na tematy społecznie dolegliwe – o karierowiczach-tupeciarzach („Wodzirej"), o ofiarach propagandy sukcesu („Człowiek z marmuru"), o idealistach, którzy nie chcą być chałturnikami systemu („Aktorzy prowincjonalni"). Odwrotnie jest z serialami z tamtego okresu: wolą się widzom nie narażać. Pilnują socjalistycznego etosu i idealizują jego bohaterów – miejskiego inżyniera idącego z duchem postępu („Czterdziestolatek"), milicjanta, który ściga przestępców, a nie opozycjonistów („07 zgłoś się"), szlachetnego łotra dającego łupnia nielubianym przez proletariuszy arystokratom („Janosik"). Telewizja sprawuje rząd dusz, są tylko dwa programy.

Dziś nie ma ograniczeń – jest konkurencja o widza. A programów mamy na pęczki – w telewizji, w internecie, na platformach streamingowych. Mnożą się kanały dystrybucji treści, mnożą się historie, których widz nie może przegapić. Seriale są wygodniejsze niż seanse kinowe – nie trzeba wychodzić z domu, planować wycieczki, tracić czasu na dojazd; bardziej opłaca się opłacenie miesięcznej subskrypcji na platformie cyfrowej z dostępem do biblioteki filmów niż zakup biletu na pojedynczy seans.

Kino traci widza na rzecz seriali. Czy nie abdykuje tym samym z pozycji wiodącego dostarczyciela zapalnych tematów? – Kino nadal opowiada trudne historie, tylko ogląda je mniej osób. Serial ma nad filmem przewagę czasu i miejsca. Opowieść rozłożona na kilka odcinków pozwala pokazać mechanizm rządzący fabułą, a nie tylko jego skutek. W „Ołowianych dzieciach" najmocniej działa to, jak długo bohaterowie udawali na ekranie, że problemu nie ma. Na pokazanie tego w ciągu dwóch godzin trwania filmu zwykle brakuje miejsca. Co do miejsca, oglądanie w domu, we własnym tempie, obniża próg wejścia w niełatwą historię. Prościej włączyć serial o rodzicielstwie dziecka z niepełnosprawnością, jak „Matki pingwinów", niż kupić bilet na film o tej tematyce – uważa Magdalena Bród.

Kina, szczególnie multipleksy, coraz bardziej idą w komercję. Stają się areną rozrywki. – Film musi zapełnić sale w pierwszy weekend, więc wygrywają tytuły, na które idzie się w ciemno. Platforma rozlicza się inaczej: zależy jej, żeby widz został z nią na dłużej, więc opłaca się mieć w katalogu także bardziej wymagające produkcje. Tyle że to również jest komercja. Streaming nie robi takich seriali z misji, tylko dlatego, że dobrze opowiedziany trudny temat przyciąga i trzyma widzów – tłumaczy redaktor naczelna portalu Serialowy.pl.

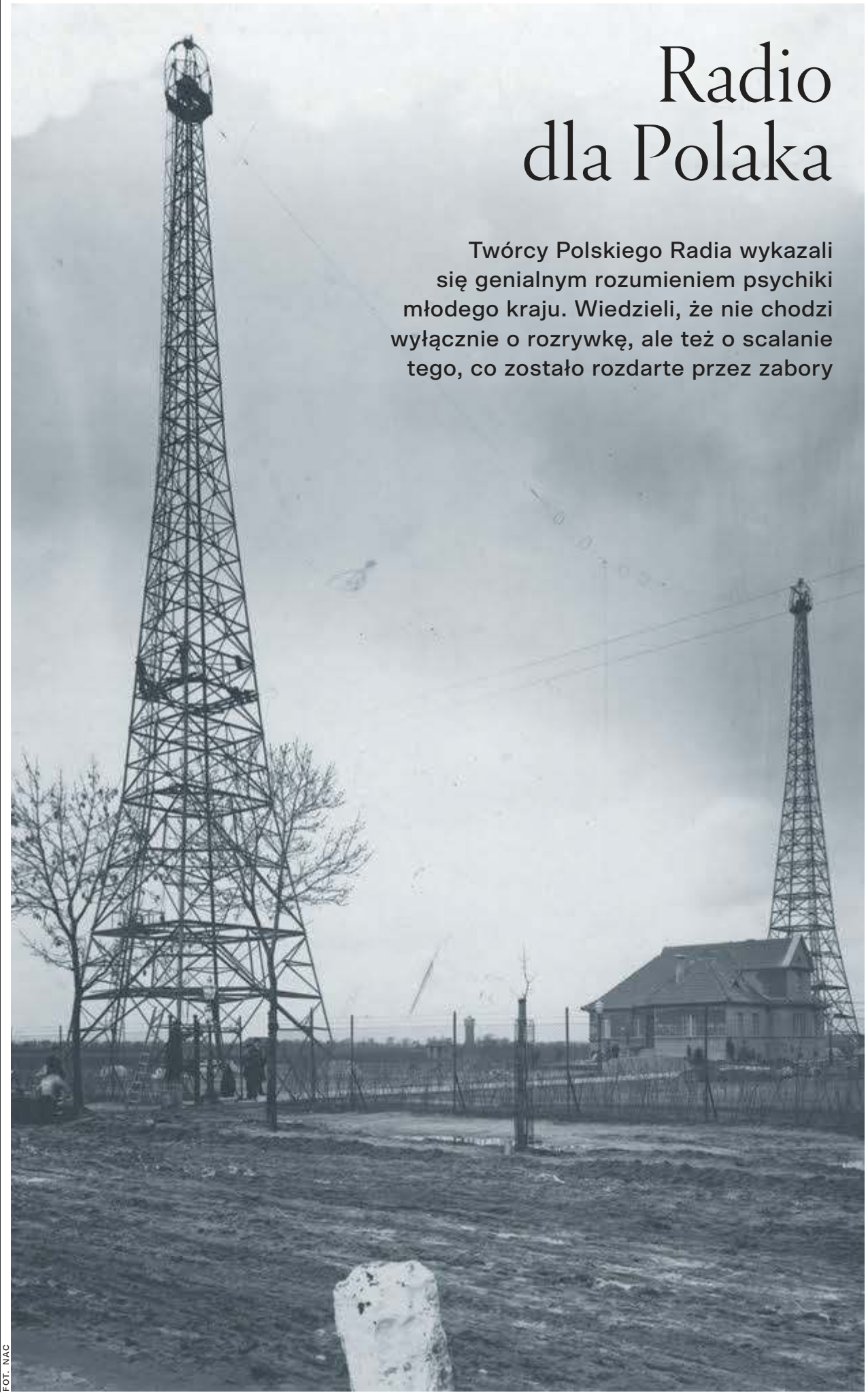
A może oglądanie serialu daje nam również większą kontrolę nad sytuacją, której doświadczamy. Mamy pod ręką atrybuty bezpieczeństwa: koc, miękką kanapę, herbatę na stole, toteż przechodzenie przez serialowe trudne tematy, które oglądamy z pozycji wygodnego fotela, jest łatwiejsze do zniesienia.

– W kinie jesteśmy częścią widowni. Wraz z obcymi widzami na sąsiednich miejscach tworzymy innego rodzaju społeczność. Możemy wstydzić się własnych reakcji, strachu czy łez, podczas gdy w domu puszczają nasze filtry obronne. Kiedy siedzimy pod ciepłym kocem, trudny temat może trafić głębiej, bo nie musimy przed nikim udawać twardych ani zdystansowanych. Jednocześnie to domowe bezpieczeństwo niesie ryzyko łatwej ucieczki od dyskomfortu własnych emocji, gdyż wystarczy jeden klik na pilocie do telewizora, aby zastopować oglądanie. Dlatego jako filmowcy mamy dziś o wiele trudniejsze zadanie: musimy skonstruować tę historię na tyle rzetelnie i wiarygodnie, aby widz nie wcisnął pauzy – konkluduje Wleklik. ©℗

25–29 listopada w warszawskiej Kinotece w PKiN odbędzie się Festiwal BNP Paribas Warsaw Serial Con

eprasa.pl 6757e36917

Historia



FOT. NAC

Nadajniki Polskiego Radia w Poznaniu, 1927 r.

Radio dla Polaka

Twórcy Polskiego Radia wykazali się genialnym rozumieniem psychiki młodego kraju. Wiedzieli, że nie chodzi wyłącznie o rozrywkę, ale też o scalanie tego, co zostało rozdarte przez zabory

Sebastian

Pawlina

Trudno o lepszą okazję do świętowania niż urodziny, zwłaszcza okrągłe. Dlatego też Polskie Radio w 1935 r. na różne sposoby zaznaczało, że stuknęła mu pierwsza dekada. Było kilka publikacji rocznicowych, np. broszura „X lat Polskiego Radja", w której na nieco ponad 50 stronach, pomiędzy licznymi zdjęciami oraz grafikami, zachwalano szeroki zakres możliwości radia. Podkreślano więc, że dociera do Polaków na prowincji, na wsi i za granicą, że pozwala na przekazywanie ważnych informacji bez porównania szybciej niż chociażby prasa.

Peany były w pełni zasłużone. Radio było dla Polski, która ciągle sklejała się po zaborach, niemalże skokiem cywilizacyjnym. Korzystanie z niego nie wymagało wcale nie tak powszechnej wówczas umiejętności czytania, to zaś sprawiało, że niemal każdy, niezależnie od miejsca zamieszkania i poziomu wykształcenia, mógł się stać odbiorcą treści budujących wspólnotę kulturową, zachęcających do zdrowego trybu życia czy też pozwalających uczestniczyć w bieżących wydarzeniach. „Mikrofony Polskiego Radja, zawsze czujne i zawsze aktualne, podsłuchują życie na gorąco, czyniąc słuchacza uczestnikiem każdej ważniejszej uroczystości w kraju" – pisali autorzy broszury.

Ale Polskie Radio samo w sobie było opowieścią o rozwoju – przede wszystkim technicznym. Jednym z najbardziej widocznych jego przejawów na polu radiofonii stała się budowa masztów nadawczych. Perłą w koronie był bez wątpienia ten w podwarszawskim Raszynie. Wysoki na 335 m, o mocy 120 kW, stanowił fundament najsilniejszej stacji radiofonicznej w ówczesnej Europie. W 1935 r. w Polsce znajdowało się jeszcze siedem innych stacji. Najmłodszą, toruńską, otwarto na początku roku.

W uroczystości odbywającej się w Dworze Artusa udział wzięli przedstawiciele władz państwowych, Kościoła, no i samego PR, które reprezentował jego dyrektor, współtwórca i niemalże ideowy przywódca Zygmunt Chamiec. W swoim przemówieniu podkreślił, jak bardzo „dumni jesteśmy z tego, iż stacja toruńska została zbudowana całkowicie przez inżynierów i pracowników Polskiego Radia i że dzięki temu na prastarej ziemi polskiej, w jej sercu, wielkim Toruniu, stolicy Pomorza, stanie pierwsza stacja będąca dziełem polskich rąk". Podkreślanie przez niego całkowicie polskiego wykonania nie było przejawem bezmyślnego nacjonalizmu wykorzystującego każdą okazję do pochwały narodu, ale świadomego dbania o jego teraźniejszość i przyszłość.

eprasa.pl 6757e36917

Człowiek wielu talentów

Zanim Zygmunt Chamiec poznał moc radia i postanowił zbudować je w Polsce, prowadził życie pełne marzeń. Urodził się w Kijowie w 1882 r. jako syn Antoniego i Marii Cecylii. Po ukończeniu tamtejszego gimnazjum przeniósł się na studia do Lwowa. Potem były Wiedeń, Genewa i Strasburg. Swoje studenckie itinerarium znaczył nie tylko licznymi miastami, lecz także rozmaitymi kierunkami studiów. Z racji ziemiańskiego pochodzenia i perspektyw przejęcia rodzinnego majątku próbował swoich sił w rolnictwie i ekonomii. Znalazł też czas na muzykologię, ale poświęcił się głównie medycynie.

Być może wynikało to z ideowości przyszłego zawodu, możliwości robienia czegoś dla innych. Miał do tego wyraźne ciągoty. Jeszcze podczas pobytu we Lwowie zaangażował się w protest studentów przeciwko niedotrzymywaniu przez uczelnię obietnicy poprawy warunków, w których studenci odbywali zajęcia. W podsumowaniu memoriału złożonego władzom uniwersytetu pisał w imieniu strajkujących: „naszym bowiem obowiązkiem, jako najbliżej stojących przy instytucjach naukowych, które są przecież własnością naszego społeczeństwa, jest ostrzec to społeczeństwo przed niebezpieczeństwem".

Nie dostał jednak szansy na naukową karierę medyka. Krótko po tym, jak Zygmunt z wyróżnieniem zdobył dyplom (ze specjalizacją z bakteriologii), zmarł jego ojciec. Wrócił więc do rodzinnego majątku w Stepańcach, położonych na południe od Kijowa, aby przejąć zarządzanie rodowymi dobrami. Ale jeszcze przed wybuchem I wojny światowej przeniósł się wraz z żoną do Warszawy. Zresztą i tak nie mógłby się cieszyć długim i dostatnim życiem ziemianina. Wojna i rewolucja bolszewicka sprawiły bowiem, że rodzina Chamców, tak jak setki innych polskich rodzin, musiała porzucić majątek, aby ujść z życiem.

Gdy dwory płonęły, Zygmunt stawiał pierwsze kroki w warszawskim świecie finansów i kultury. W sierpniu 1915 r. został sekretarzem Tymczasowego Zarządu Teatrów, a miesiąc później kierownikiem działu administracyjnego Opery Narodowej. Jeszcze przed końcem wielkiej wojny, jak wówczas zwano I wojnę światową, przeszedł na stanowisko zastępcy dyrektora Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej. W każdej z tych ról wykazał się talentem organizacyjnym i umiejętnością operowania pieniędzmi w trudnych warunkach. Dostrzegli to ci, którzy już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości kompletowali skład reprezentacji na konferencję pokojową w Paryżu.

Radiowa ewolucja

Polska delegacja liczyła ok. 60 osób. Każda z nich miała ściśle wyznaczone zadania. Chamcowi powierzono zaopiekowanie się kwestiami finansowymi, a także odszkodowaniami i reparacjami. Długi czas rozmów, dynamicznie kształtująca się sytuacja międzynarodowa, a także pojawiające się niczym grzyby po deszczu problemy i wyzwania młodego państwa nad Wisłą sprawiały, że wielkość zespołu oraz jego zadania zmieniały się. Już w trakcie konferencji pokojowej Chamiec został członkiem Wojskowej Misji Zakupów, której zadaniem było zdobycie uzbrojenia dla nowo tworzonego Wojska Polskiego, mającego przed sobą perspektywę długich walk o granice oraz utrzymanie niepewnej ciągle niepodległości.

Jeśli niedawni jeszcze poddani Berlina, Petersburga i Wiednia mieli ze sobą współpracować, musieli nabyć identycznych wartości i punktów odniesienia, które wyznaczałyby im wspólne cele

Wykonując te zadania, Zygmunt nawiązywał liczne znajomości i przyjaźnie, tak z Polakami, jak i z obcokrajowcami. Był wśród nich członek delegacji wysłanej przez Rzym – Guglielmo Marconi, fizyk i konstruktor, który dekadę wcześniej otrzymał Nobla z fizyki za wkład w rozwój telegrafii bezprzewodowej, czyli po prostu radia. Na przełomie drugiej i trzeciej dekady XX stulecia Marconi miał już ugruntowaną na świecie pozycję.

Ale to nie rozległe koneksje Włocha, a jego odkrycia przyciągnęły do niego Chamca. Ten całymi dniami przesiadywał w londyńskim laboratorium naukowca, gdzie chłonął wiedzę na temat radia. Szybko zawładnęła nim wizja przenoszenia głosu na setki kilometrów, głosu identycznego dla każdego odbiorcy. Oczywisty stał się dla niego kryjący się za tym potencjał rynkowy. W użyciu cywilnym, prywatnym radio było bowiem ciągle terra incognita. Początkowo znajdowało się w rękach przedsiębiorstw, dla których stało się alternatywą dla mniej uniwersalnych telegrafów. To ono pozwoliło na sprawne komunikowanie się przez morza i oceany.

Gdy latem 1914 r. świat pogrążył się w zbiorowym szaleństwie, dla ułatwienia nazywanym wojną, po radio sięgnęło wojsko. Żeby wykorzystać je do maksimum, zaczęto intensywnie pracować nad zmniejszaniem nadajników i odbiorników, a także nad ich masową produkcją.

Koniec konfliktu w krótkim czasie uwolnił wszystkie te wynalazki, ludzi, którzy je tworzyli, a także fabryki. Okazja czekała na chętnych. Najszybciej wykorzystali ją Amerykanie. Stało się to za sprawą Franka Conrada, mieszkającego w Pittsburghu inżyniera i wynalazcy, od dawna zafascynowanego radiofonią autora prawie 200 patentów. Zanim wojna dobiegła końca, wybudował prywatny nadajnik, a jesienią 1919 r. zaczął nadawać audycję. Plan na nią był prosty – z lokalnego sklepu wypożyczał płyty winylowe i odtwarzał je na antenie.

Pomysł chwycił, a skala zainteresowania nową formą rozrywki była tak duża, że firma, w której Conrad pracował, poprosiła go o zbudowanie dla niej nadajnika. Tak 2 listopada 1920 r. rozpoczęła swoją działalność stacja radiowa KDKA. W ślady Amerykanów w ciągu kilku następnych lat poszła Europa. Stałe programy pojawiły się w Wielkiej Brytanii, Niemczech, Holandii, we Francji, a nawet w Czechosłowacji. Nad Wisłą potrzebowano na to jednak więcej czasu.

Nadwiślańskie raczkowanie

Na początku lat 20. Polska nie była jeszcze gotowa na oddanie radia cywilom. Kraj był uwikłany w konflikty zbrojne, a poza tym nie posiadał wystarczającej liczby urządzeń. Wszystko, co odziedziczono po zaborcach, poszło na potrzeby armii, a nowych nadajników i odbiorników nie było jak, za co ani dla kogo produkować. Najpierw trzeba było postawić fundamenty właściwie funkcjonującego państwa, a więc ujednolicić systemy prawne, walutę, odbudować przemysł, stworzyć od podstaw i uporządkować funkcjonowanie edukacji, ochrony zdrowia, kultury, w skrócie – zapewnić ludziom warunki do życia. No i należało stworzyć armię zdolną do obrony tego. Dopiero potem można było marzyć o takich cudach jak radio.

Pierwszy krok na drodze do rozszerzenia zakresu dostępności radia wykonano w sierpniu 1921 r., gdy wojsko przekazało poznańską radiostację Ministerstwu Poczt i Telegrafów, aby po roku dołączyć do niej podobne w Grudziądzu oraz Krakowie. Prawdziwy krok naprzód miał jednak dopiero nadejść. Na przełomie lat 1922 i 1923 w Warszawie dwie firmy radiotechniczne, Radjopol i Farad, połączyły się, tworząc Polskie Towarzystwo Radjotechniczne. Wsparte brytyjskim i francuskim kapitałem oraz know-how stało się dla historii polskiego radia tym, czym inicjatywa Franka Conrada była dla radia amerykańskiego.

Chwilę jednak zajęło, zanim PTR rozpoczęło nadawanie próbnych audycji. Przygotowania trwały do jesieni 1924 r. W niedzielę 19 października o godzinie 16:30 nieliczni, którzy dysponowali odbiornikami w Warszawie, mogli usłyszeć – o ile akurat natrafili na właściwą częstotliwość – jak spiker mówi: „Hallo, hallo. Tu Polska Agencja Telegraficzna. Raz, dwa, trzy, cztery...". Jak relacjonował Maciej T. Kwiatkowski, historyk polskiej radiofonii, w trakcie odczytywania komunikatów prasowych prowadzący zakrztusił się, po czym zaczął przepraszać słuchaczy i tłumaczyć się, że brakuje mu wprawy.

Te szkoleniowe odczyty, prowadzone nieregularnie z biura PTR przy ul. Narbutta 29 w Warszawie, trwały kilka miesięcy, aż 1 lutego 1925 r. stacja ogłosiła, że od teraz będzie nadawać codziennie od 18:00 przez godzinę. Jeszcze w tym samym miesiącu prasa warszawska zaczęła drukować program tej pierwszej polskiej stacji radiowej. Składały się na niego prognozy pogody z Państwowego Instytutu Meteorologii, przegląd informacji ze świata na podstawie doniesień Polskiej Agencji Telegraficznej, a także koncerty. W ciągu roku liczba słuchaczy urosła do 30 tys. Ci najbardziej zainteresowani gadającym pudełkiem mogli poszerzać swoją wiedzę dzięki gazetom poświęconym tematyce radiotechnicznej. PTR szturmem zdobywało serca Warszawiaków. Ale to nie oni mieli zdecydować o losie stacji.

Bój o koncesję

Oficjalnie PTR nadawało jako próbna stacja radionadawcza. Wynikało to z obowiązującej ustawy o poczcie, telegrafie i telefonie. Zgodnie z nią oraz z rozporządzeniem w sprawie zakładania, utrzymywania i eksploatowania urządzeń radiotechnicznych oraz w sprawie wyrobu sprzętu radiotechnicznego i handlu tym sprzętem możliwe było udzielanie wytwórniom aparatów radiotechnicznych zezwoleń na „zakładanie, utrzymywanie i eksploatowanie stacji nadawczych (...) dla sprawdzania i demonstrowania wyprodukowanych aparatów oraz przeprowadzenia doświadczeń". W tłumaczeniu z urzędniczego na polski oznaczało to, że Polskie Towarzystwo Radjotechniczne nie nadawało programu jako stacja radiowa, tylko w formule reklamy możliwości, które dawały produkowane przez PTR radioodbiorniki. To było jednak rozwiązanie tymczasowe. Docelowo nadawać miał ten, kto dostanie państwową koncesję.

Wyścig po nią rozpoczął się w połowie 1924 r. Termin na składanie zgłoszeń wyznaczono na 31 sierpnia tego samego roku. Nie znamy pełnej listy firm, które dostarczyły wnioski o licencję. Wśród trzech, których jesteśmy pewni, były: PTR, Polskie Zakłady Philipsa SA, a w końcu Polskie Radio. Dopiero za parę lat miało przejść w ręce państwa. Teraz było spółką z ograniczoną odpowiedzialnością. Na jej czele stanęli Janusz Sułowski, inżynier związany z Siłą i Światłem, pierwszą spółką akcyjną zarejestrowaną w niepodległej Polsce (już 5 grudnia 1918 r.), a także Zygmunt Chamiec. Owładnięty marzeniem rozwinięcia radiofonii w Polsce uczynił z tego swój cel życiowy. Po powrocie z zagranicznych wojaży rzucił się w wir pracy. Spotykał się z ludźmi, których poparcie mogło mieć znaczenie, rozwijał przed nimi wizje równie romantyczne, co konkretne. Janusz Regulski, jedna z czołowych postaci „Siły i Światła", pisał po latach: „Szczery zapał, z jakim przedstawiał nam piękne, ale i skomplikowane zagadnienia, oparty był nie tylko na dobrych chęciach, jak to zbyt często bywało przy nowych projektach, lecz na znajomości rzeczy, poważnej analizie i racjonalnym planie. Przeprowadził badania sytuacji w kraju, odbył już szereg konferencji z miarodajnymi ludźmi i instytucjami, w tej liczbie i z ministrem przemysłu i handlu, które miało być czynnikiem decydującym w tych sprawach. Ta pierwsza konferencja zakończyła się zapewnieniem z naszej strony stworzenia inicjatorowi polskiej radiofonii bazy działania, pomocy biurowej oraz oczywiście poparcia".

Z tego opisu wyłania się obraz człowieka z szerokimi perspektywami i planami dopracowanymi w najdrobniejszych szczegółach, a przy tym mającego talent do zjednywania sobie ludzi. Chamiec taki był. Nie przez rok czy dwa. Nie był bowiem marzycielem, któ- ▷

eprasa.pl 6757e36917

ry zapalał się i zanim jeszcze dotarł do celu, gasł. Jego biograf Ryszard Miazek dobitnie pokazał w książce „Przeminęło z radiem", że cała konstrukcja psychiczna i postawa życiowa pierwszego dyrektora PR opierały się na tych wartościach. I być może to sprawiło, że w krótkim czasie wśród zaangażowanych w budowanie pozycji Polskiego Radia znaleźli się nie tylko znakomici inżynierowie, tacy jak Ludwik Chełmiński, człowiek, który w listopadzie 1918 r. przejmował z rąk niemieckich warszawską centralę telefonów międzymiastowych, ale również politycy na czele z Piotrem Drzewieckim, byłym prezydentem Warszawy, a także Leopoldem Skulskim, mającym przeszłość jako premier oraz minister spraw wewnętrznych.

Udział tych ostatnich bywał wytykany twórcom PR jako zagrożenie upolitycznienia radia. Zarzut ten był tyleż zasadny, ile dowodzący tego, jak ostra była walka o koncesję.

Radio w domu!

Wynik ogłoszony ostatecznie 18 sierpnia 1925 r. był zaskoczeniem chyba dla wszystkich. Nawet nie to, że wygrało Polskie Radio, lecz że przegrało Polskie Towarzystwo Radjotechniczne. Stało za nim przecież doświadczenie, posiadanie własnego sprzętu, a także dający niemałe możliwości zagraniczny kapitał. Ale jak stwierdził Regulski, to właśnie mogło przyczynić się do porażki PTR. „Zapomniano, że celem sieci radiowej jest dojście do każdego domu, a nawet mieszkania w całym kraju, że ma to być ośrodek informacji i propagandy o tak olbrzymim znaczeniu i wpływach, że byłoby rzeczą niedopuszczalną, aby znalazł się on w dyspozycji obcokrajowych organizacji przemysłowych. Specjalnie w naszych warunkach, powstającego dopiero państwa, oddanie w ich ręce sieci radiowej byłoby raczej lekkomyślnością" – pisał w swoich wspomnieniach zatytułowanych „Blaski i cienie długiego życia".

Za Polskim Radiem tymczasem stał wyłącznie polski kapitał. Co więcej, prawdopodobnie PR było pod tym względem ewenementem wśród uczestników wyścigu o koncesję. Chamiec i spółka wykazali się genialnym wprost rozumieniem psychiki młodego kraju mającego w świeżej pamięci obce rządy. I wydaje się, że to właśnie zrozumienie, po co w ogóle Polakom radio, dało im sukces. Wiedzieli, że nie chodzi wyłącznie o rozrywkę, lecz także o scalanie tego, co zostało rozdarte przez zabory. Zdawali sobie sprawę, że jeśli niedawni jeszcze poddani Berlina, Petersburga i Wiednia mają ze sobą współpracować, muszą nabyć identycznych wartości i punktów odniesienia, które wyznaczałyby im wspólne cele. Bo jak w 1922 r. w „Podstawach kultury narodowej" pisał poeta i publicysta Zdzisław Dębicki, „zorganizowane społeczeństwo, naród, państwo, nie są do pomyślenia tam, gdzie ich członkowie idą rozbieżnie, gdzie jeden nie pomaga drugiemu, gdzie wspólny wysiłek nie prowadzi do wspólnych celów". I nawet jeśli jest to idealizm niemający szans na przetrwanie w świecie pełnym antagonizmów, to jest to idealizm, o który warto dbać. ©℗

Gospodarka



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Made in India" na wolnym biegu

Artur **Klimek**

Indyjska gospodarka szybko rośnie – wzrost PKB ma wynieść w tym i przyszłym roku 7 proc. (za MFW). Żaden inny duży kraj nie może się pochwalić takimi wynikami. Jednak dynamika ta nie przekłada się na rozwiązanie jednego z kluczowych problemów indyjskiej gospodarki, czyli zbyt niskiego udziału sektora wytwórczego. A to właśnie on zgodnie z założeniami rządu w Nowym Delhi ma się stać podstawą następnej fazy rozwoju. Do 2035 r. udział produkcji przemysłowej w PKB ma sięgnąć 25 proc. i stworzyć 143 mln miejsc pracy. W budżecie na rok fiskalny 2026/2027 zapisano wsparcie produkcji farmaceutyków, półprzewodników, elektroniki, tekstyliów i wyrobów opartych na metalach ziem rzadkich. Wskazano także konieczność rozwoju infrastruktury i przyciągania zagranicznych inwestorów. Wartość finansowania dla najważniejszych inicjatyw ma wynieść dziesiątki miliardów dolarów.

Uzależnienie Indii od dostaw z zagranicy zwraca uwagę już od dawna. Ma to przełożenie na kwestie makroekonomiczne – nie tylko słabość przemysłu, lecz także deprecjację krajowej waluty czy rynek pracy, który nie może wchłonąć dużej liczby młodych osób. Podczas niedawnego forum ekonomicznego w Nowym Delhi premier Narendra Modi odniósł się do wykorzystywania globalnych łańcuchów dostaw do wywierania wpływu przez inne państwa. Samowystarczalność to dla jego kraju kwestia zarówno ekonomiczna, jak i geopolityczna.

Indyjski deficyt w handlu towarami sięga nawet kilkuset miliardów dolarów rocznie. W roku fiskalnym 2025/26 Indie wysłały za granicę dobra o wartości 441 mld dol., podczas gdy import wyniósł 775 mld (według danych ministerstwa handlu i przemysłu). Ten negatywny trend utrzymuje się od wielu lat. Towary wywiezione do Chin odpowiadają za zaledwie 19 mld dol., co stanowi ok. 4 proc. całego eksportu. W drugą stronę przywieziono artykuły warte 131 mld dol., co stanowi 17 proc. indyjskiego importu.

Indie nie mają rozbudowanego zaplecza umożliwiającego zaawansowaną produkcję. Co prawda udało się przyciągnąć kilka dużych projektów z branży półprzewodników i elektroniki, ale to nie wystarczy, by się rozpędzić. Wiele komponentów nadal trzeba importować, ponieważ ich wytwarzanie wymagałoby ogromnego wysiłku i nakładów, a przecież łatwiej jest kupić od większego sąsiada. Podobnie wygląda zależność w produkcji baterii do pojazdów elektrycznych.

Z kolei chińskie przedsiębiorstwa kontrolują często całe łańcuchy wartości, nawet te mniej widoczne i o niższych marżach. Dzięki specjalizacji i dużej skali działalności łatwiej im dostosowywać się do szybkich zmian technologicznych. Chińskie doświadczenia w produkcji komponentów komputerowych procentują z nawiązką w obliczu ogromnego zapotrzebowania na serwery do centrów danych. Firmy z Państwa Środka są w stanie dostarczyć wiele elementów ekosystemu sztucznej inteligencji. Chodzi o chłodzenie, szafy serwerowe czy urządzenia do precyzyjnej produkcji. Okazuje się, że „Made in India" to ciągle zależność od „Made in China".

Finansjalizacja indyjskiej gospodarki powoduje, że kapitał zamiast wspierać inwestycje w wytwórczość, trafia na rynki finansowe. To kolejny raz, kiedy Indie przeskakują szczeble na drabinie rozwoju. Wcześniej próbowały błyskawicznie przejść z rolnictwa do usług z pominięciem sektora wytwórczego. Z jednej strony przyniosło to korzyści, ponieważ firmy takie jak Infosys czy Wipro wpisały się w światowy trend technologiczny, a branża usług biznesowych stworzyła miliony miejsc pracy dla absolwentów szkół wyższych. Przez lata świadczenie usług informatycznych czy księgowych na rzecz międzynarodowych przedsiębiorstw odpowiadało aspiracjom szybko rosnącej populacji młodych osób w Indiach.

Rozwój usług był też związany z niedoborami w infrastrukturze fizycznej, co zakłócało logistykę, uniemożliwiało zaawansowane procesy produkcyjne i utrudniało dostęp do materiałów. Do tego dochodziły przeszkody biurokratyczne i prawne w zakresie budowy zakładów produkcyjnych. Wszystko to oznaczało mniejsze możliwości rozwoju bazy produkcyjnej.

Postawienie na finanse to wybór łatwiejszej drogi zarabiania. Natomiast problemem jest gospodarka realna i jej konkurencyjność. Wiąże się to z problemami społecznymi – załamanie w handlu kontraktami opcyjnymi spowodowało wielomiliardowe straty, głównie dla inwestorów indywidualnych. Mimo nacisku na rozwój inwestycji na rynku kapitałowym, w ostatnim czasie tamtejsze giełdy notują spadki. Wygląda na to, że zagraniczni inwestorzy przestali wierzyć w indyjski rynek kapitałowy i wyprowadzili stamtąd miliardy. Słabnąca waluta też nie zachęca do lokowania kapitału w Indiach.

Następuje również zmiana sposobu zarządzania finansami: przejście od pasywnego oszczędzania na lokacie czy obligacjach w kierunku agresywniejszego inwestowania w akcje i złożone instrumenty finansowe. W skali makro przekłada to się na możliwości finansowania rozwoju gospodarki przez banki.

W komentarzach na temat zapóźnienia indyjskiej produkcji często podaje się przykład USA, które najpierw zbudowały bazę wytwórczą i firmy przemysłowe, a potem przeszły do usług, technologii informacyjnych i rozwoju rynku finansowego. Nawet Chiny zastosowały ten model w szerokim zakresie. W przypadku Indii skopiowanie takiego podejścia może okazać się niemożliwe. USA budowały przewagi w zupełnie innej rzeczywistości ekonomicznej i politycznej. Konkurowały wówczas jedynie z Wielką Brytanią i Niemcami. Teraz lista rywali w dziedzinie zaawansowanej produkcji jest dużo dłuższa. Nawet Stany Zjednoczone słabną na tym polu. Proponowanie modelu, który przed wiekiem odniósł sukces w USA, nie może być dobrym rozwiązaniem. Tym bardziej że Indie mają po sąsiedzku prawdziwą fabrykę świata, co nie ułatwia ekspansji ich firmom przemysłowym.

Również technologia jest zupełnie inna – już nie chodzi o analogową produkcję, lecz rynek cyfrowy, którego wyznacznikiem jest AI. Indie pozostają w tyle za USA i Chinami pod względem liczby centrów danych oraz tworzenia własnych modeli AI i ich zastosowania. To kolejna przyczyna słabych wyników ich rynku giełdowego. Nie może się on poszczycić wiodącymi spółkami w łańcuchach AI, tak jak Tajwan, Korea Południowa czy Chiny.

Czy w momencie, gdy największe gospodarki stawiają na modele językowe, Indie powinny podążać własną drogą? A może powinny iść główną drogą, lecz pod prąd? Dwa argumenty mocno przemawiają na korzyść Indii: duży rynek wewnętrzny i największa populacja na świecie. Oznacza to, że indyjskie firmy nie muszą w pełni polegać na zagranicznych rynkach zbytu ani zawsze bezpośrednio konkurować z najbardziej wydajnymi przedsiębiorstwami z innych krajów. Tym bardziej że władze w Nowym Delhi nie stroniły w ostatnich dekadach od działań protekcjonistycznych chroniących rodzimych producentów szczelnym murem. ©℗

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

eprasa.pl 6757e36917

KOMUNIKATY

Wyciąg z ogłoszenia o II ustnym przetargu nieograniczonym na sprzedaż prawa własności nieruchomości będącej własnością Miasta Gliwice, obejmującej zabudowaną działkę nr 1201/1, obręb Żerniki, położoną przy ul. Omańkowskiej w Gliwicach.

PREZYDENT MIASTA GLIWICE INFORMUJE,

że na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Gliwicach przy ul. Zwycięstwa 21 (parter) i ul. Jasnej 31A (parter), na stronie internetowej miasta (gliwice.eu) oraz w Biuletynie Informacji Publicznej (bip.gliwice.eu) zostało podane do publicznej wiadomości ogłoszenie o **II ustnym przetargu nieograniczonym na sprzedaż prawa własności części nieruchomości** stanowiącej własność Miasta Gliwice, **obejmującej działkę nr 1201/1, obręb Żerniki, zabudowaną budynkiem mieszkalnym oraz budynkiem niemieszkalnym, położonymi przy ul. Omańkowskiej 12 w Gliwicach.**

Ponadto wyciąg z ogłoszenia o przetargu został zamieszczony w prasie ogólnopolskiej („Dzienniku Gazecie Prawnej") oraz w prasie lokalnej („Miejskim Serwisie Informacyjnym – Gliwice").

1. **Dane ewidencyjne**
   Działka nr 1201/1, obręb Żerniki, o pow. 0,0939 ha, użytek B – tereny mieszkaniowe (identyfikator 246601_1.0061.1201/1), zabudowana budynkiem mieszkalnym o pow. użytkowej 181,60 m^2 (identyfikator 246601_1.0061.937_BUD) oraz budynkiem niemieszkalnym o pow. zabudowy 14,00 m^2 (identyfikator 246601_1.0061.948_BUD), poł. przy ul. Omańkowskiej 12 w Gliwicach, stanowiąca własność Miasta Gliwice.
2. **Położenie i opis**
   Działka nr 1201/1, obręb Żerniki, położona jest przy ul. Omańkowskiej w Gliwicach. Sąsiedztwo bezpośrednie stanowi zabudowa jednorodzinna i tereny upraw polowych. Obiekty usług publicznych i pojedyncze punkty handlowo-usługowe znajdują się w odległości ok 0,8 km w rejonie ul. Tarnogórskiej. W bliskiej odległości znajdują się tereny leśne. Okolica jest bardzo dobrze skomunikowana. W bliskiej odległości na zachód znajduje się skrzyżowanie głównych dróg ul. Tarnogórskiej i alei Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Działka ma kształt zbliżony do trapezu, teren prawie płaski z niewielkim spadkiem w kierunku południowym. Teren działki porastają drzewa i krzewy. Działka częściowo ogrodzona. Działka zabudowana jest budynkiem mieszkalnym w zabudowie wolno stojącej o pow. użytkowej 181,60 m^2. Budynek jest podpiwniczony z dwoma kondygnacjami nadziemnymi. Budynek wybudowany w latach przedwojennych, wykonany w technologii tradycyjnej, murowanej z cegły, w pełni podpiwniczony. Strop nad piwnicą ceglany typu Kleina, nad parterem drewniany. Dach budynku o konstrukcji drewnianej z pokryciem dachówką.

   Budynek wyposażony jest w instalacje: wodną, kanalizacyjną – szambo, gazową, elektryczną, wentylacyjną, ogrzewanie piecowe.
   Według protokołu rocznej kontroli stanu technicznego elementów budynku z 2025 r. elementy budynku są w dobrym, zadawalającym lub dostatecznym stanie technicznym.
   Na działce posadowiony jest również budynek niemieszkalny o charakterze gospodarczym o pow. zabudowy 14,00 m^2.
   Skomunikowanie przedmiotowej działki odbywa się do ul. Omańkowskiej w Gliwicach.
3. **Przeznaczenie nieruchomości**
   Zgodne z ustaleniami miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego miasta Gliwice dla obszaru obejmującego część dzielnicy Żerniki położoną po wschodniej stronie ulicy Tarnogórskiej – etap I (uchwała nr III/25/2024 Rady Miasta Gliwice z dnia 27 czerwca 2024 r., Dz. Urz. Woj. Śl. z 2024 r., poz. 5023) działki nr 1201/1, obręb Żerniki, znajdują się na terenie oznaczonym symbolem 62MN – co oznacza: tereny zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej, dla których przeznaczenie podstawowe to zabudowa mieszkaniowa jednorodzinna.
4. **Cena wywoławcza brutto: 760 000,00 zł.** Sprzedaż zwolniona z opodatkowania podatkiem VAT zgodnie z ustawą z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług – t.j. Dz.U. z 2025 r., poz. 775 ze zm.
   Minimalne postąpienie: 7600,00 zł.
5. **Wadium: 76 000,00 zł** należy wnieść do **7 stycznia 2027 r.** Datą wniesienia wadium jest data uznania rachunku bankowego Miasta Gliwice.
6. **Termin i miejsce przetargu: 14 stycznia 2027 r. o godz. 11.00,** siedziba Wydziału Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miejskiego w Gliwicach, ul. Jasna 31A, sala 105, I piętro.
7. Podpisanie notarialnej umowy kupna-sprzedaży nastąpi do 15 lutego 2027 r. Dodatkowe informacje na temat warunków przetargu oraz możliwości przeprowadzenia wizji na nieruchomości można uzyskać pod numerami tel. 32/338-64-10 lub -08, -09, -12, -41.

OBWIESZCZENIE
WOJEWODY WIELKOPOLSKIEGO
z 6 listopada 2026 r.

Na podstawie art. 7 ust. 1 pkt 3 i ust. 1c ustawy z dnia 24 lipca 2015 r. o przygotowaniu i realizacji strategicznych inwestycji w zakresie sieci przesyłowych (Dz.U. z 2024 r. poz. 1199) - zwanej dalej: ustawą,

zawiadamiam

o wszczęciu na wniosek ENERGA – OPERATOR Spółka Akcyjna postępowania w sprawie wydania decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej dla przedsięwzięcia pn: „Przebudowa napowietrznej linii WN 110 kV relacji Odolanów – Sośnie".

Oznaczenie nieruchomości objętych wnioskiem o wydanie decyzji
o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej:

Powiat ostrowski
Gmina Odolanów
Jednostka ewidencyjna: 301703_4 – Odolanów

obręb: 0001 – Odolanów
działki o nr ewid.: 347 (KZ1W/00011425/3), 368 (-), 369 (-);

obręb: 0002 - Garki
działki o nr ewid.: 81 (KZ1W/00057842/6), 85 (KZ1W/00087084/3), 87 (KZ1W/00087853/5 88 (KZ1W/00082288/8), 89 (KZ1W/00002690/5), 110 (KZ1W/00092596/3), 113 (KZ1W/00012071/3), 114 (KZ1W/00076982/8), 115 (KZ1W/00012085/4), 116 (KZ1W/00090486/5), 117 (-), 118 (KZ1W/00108911/4), 131 (-), 204 (KZ1W/00040960/7), 205 (KZ1W/00014909/1), 206/4 (KZ1W/00091395/7), 207 (KZ1W/00087084/3), 227/3 (KZ1W/00049971/0), 228 (-), 229 (KZ1W/00053933/3), 230 (KZ1W/00012087/8), 240/1 (KZ1W/00037849/9), 242 (KZ1W/00057888/0), 792 (KZ1W/00007557/6), 793 (KZ1W/00028367/0), 794/2 (KZ1W/00061332/9), 798 (KZ1W/00028367/0), 799 (-), 800 (KZ1W/00027868/5), 801 (KZ1W/00103465/7), 802/1 (KZ1W/00087084/3), 806 (KZ1W/00102063/2), 828/1 (KZ1W/00043608/3), 828/2 (KZ1W/00043608/3), 823 (KZ1W/00082288/8), 826 (KZ1W/00087084/3), 827 (KZ1W/00012037/3), 836 (KZ1W/00019246/0), 837 (KZ1W/00019247/7), 838 (KZ1W/00027811/1), 842 (-), 1045 (KZ1W/00087084/3), 1046 (-), 1047/2 (KZ1W/00023327/3), 1048 (KZ1W/00057888/0), 1054 (KZ1W/00058752/5), 1055 (KZ1W/00051522/5), 1056 (KZ1W/00012079/9), 1129 (-), 1130 (KZ1W/00109435/0), 1144 (-), 1167 (KZ1W/00087084/3), 1170 (KZ1W/00109435/0), 1175 (KZ1W/00092212/8), 1176/1 (KZ1W/00024256/1), 1176/2 (Z1W/00012054/8), 1176/3 (KZ1W/00012061/0), 1213/2 (KZ1W/00012061/0), 1215/1 (KZ1W/00041095/9), 1218 (KZ1W/00077456/9), 1221 (-), 1253 (-);

obręb: 0003 – Gliśnica
działki o nr ewid.: 983/1 (KZ1W/00065190/9), 983/5 (KZ1W/00071748/1), 984 (KZ1W/00044841/5), 985 (-), 986 (KZ1W/00067289/4), 999 (KZ1W/00083745/7), 1004/3 (KZ1W/00063921/9), 1004/5 (KZ1W/00071748/1), 1004/8 (KZ1W/00071748/1);

obręb: 0008 – Raczyce
działki o nr ewid.: 675/3 (KZ1W/00028249/7), 675/6 (KZ1W/00093641/1), 675/8 (KZ1W/00102417/9), 675/9 (KZ1W/00015550/6), 680 (KZ1W/00087618/6), 681/6 (KZ1W/00100797/2), 681/7 (KZ1W/00056447/0), 682/4 (KZ1W/00081415/1), 693 (KZ1W/00063754/7), 702/1 (KZ1W/00096699/3), 702/2 (KZ1W/00094633/9), 705 (KZ1W/00063754/7), 707 (KZ1W/00046076/5), 708 (KZ1W/00026856/1), 713/2 (-), 717/1 (-), 718 (-), 719/1 (KZ1W/00003177/0), 729 (KZ1W/00049314/7), 730 (KZ1W/00081166/0), 735 (KZ1W/00063754/7), 744 (-), 752 (KZ1W/00063754/7), 763 (KZ1W/00099615/2), 764/1 (KZ1W/00052126/6), 764/2(KZ1W/00076806/1), 773 (KZ1W/00003599/4), 774 (-), 775 (-), 784 (KZ1W/00105482/6), 785 (-), 789 (KZ1W/00063754/7), 790 (KZ1W/00003177/0), 791 (KZ1W/00026232/1), 898/1 (KZ1W/00103434/1), 899 (KZ1W/00063754/7), 901 (KZ1W/00026612/9), 902 (KZ1W/00021749/3), 1088/1 (KZ1W/00063754/7), 1091/13 (KZ1W/00082878/1), 1091/16 (KZ1W/00045428/1), 1092 (Z1W/00034598/3), 1093 (KZ1W/00015550/6), 1109/1 (-), 1131/1 (KZ1W/00038037/1), 1131/2 (KZ1W/00048285/7), 1131/3 (Z1W/00034598/3), 1132 (KZ1W/00049368/0), 1133 (KZ1W/00088608/0), 1142 (KZ1W/00081418/2), 1146 (KZ1W/00037551/3), 1175 (KZ1W/00005015/1), 1176 (KZ1W/00017102/5), 1191 (-), 1192 (KZ1W/00004152/6), 1229 (KZ1W/00063754/7), 1446/15 (KZ1W/00095400/4), 1446/17 (KZ1W/00093682/0), 1446/18 (KZ1W/00045428/1);

Gmina Sośnie
Jednostka ewidencyjna: 301708_2 – Gmina Sośnie

obręb: 0005 - Granowiec
działki o nr ewid.: 3 (KZ1W/00030113/2), 4 (-), 5 (KZ1W/00110379/9), 44 (-), 71/5 (KZ1W/00066145/6), 73 (KZ1W/00038189/1), 76 (KZ1W/00028975/5), 79/1 (KZ1W/00076145/9), 81 (KZ1W/00023240/9), 82 (KZ1W/00028974/8), 83 (KZ1W/00012668/5), 84 (-), 110 (-), 111 (-), 112 (-), 115 (-), 159 (KZ1W/00027882/9), 162/1 (-), 164 (KZ1W/00108100/6), 165 (-), 166 (KZ1W/00039204/0), 167 (KZ1W/00079811/0), 175 (-), 186 (KZ1W/00012712/9), 188 (KZ1W/00025658/6), 189 (KZ1W/00032686/3), 190 (KZ1W/00032686/3), 191 (-), 193 (-), 210 (KZ1W/00092750/1), 211 (-), 212/1 (KZ1W/00079811/0), 212/2 (KZ1W/00092750/1), 213 (-), 214/2 (KZ1W/00079811/0), 215 (KZ1W/00114974/8), 216/1 (KZ1W/00079811/0), 216/4 (-), 217 (KZ1W/00114981/0), 1497 (KZ1W/00092709/9);

obręb: 0012 – Mariak
działki o nr ewid.: 2 (KZ1W/00009765/1), 3 (KZ1W/00009771/6), 37/1 (KZ1W/00092572/9), 81/4 (KZ1W/00049798/3), 82/1 (KZ1W/00081724/0), 82/3 (KZ1W/00061876/4), 82/4 (KZ1W/00094433/7), 104 (KZ1W/00110155/3), 109 (KZ1W/00081724/0), 111/4 (KZ1W/00110163/2), 111/5 (KZ1W/00009759/6), 113/1 (KZ1W/00096713/8), 114/1 (KZ1W/00009762/0), 117 (KZ1W/00081724/0), 198 (KZ1W/00110163/2);

obręb: 0013 – Młynik
działki o nr ewid.: 42 (KZ1W/00089449/4), 499 (KZ1W/00089845/0), 553 (-), 554 (-), 555 (KZ1W/00092700/6), 556 (KZ1W/00092700/6);

obręb: 0015 – Sośnie
działki o nr ewid.: 27 (-), 28/2 (KZ1W/00071720/9), 28/3 (KZ1W/00063542/8), 197/2 (KZ1W/00056326/6), 197/4 (KZ1W/00056327/3), 211 (KZ1W/00086105/0), 233/4 (KZ1W/00062032/3), 233/6 (KZ1W/00028561/0), 234/1 (KZ1W/00101731/9), 234/2 (KZ1W/00038524/2), 235 (-), 236/1 (KZ1W/00064839/4), 236/2 (KZ1W/00050003/4), 238/13 (-), 239 (KZ1W/00111289/8), 244/1 (KZ1W/00016608/5), 245/3 (KZ1W/00022305/6), 246 (-), 247/9 (KZ1W/00022305/6), 251 (-), 262/2 (KZ1W/00023492/0), 263/2 (KZ1W/00067835/7), 263/3 (KZ1W/00023492/0), 270/1 (KZ1W/00030429/0), 270/2 (KZ1W/00064951/5), 272 (KZ1W/00079627/3), 274/2 (KZ1W/00022190/6), 274/3 (KZ1W/00031231/2), 274/5 (KZ1W/00064841/1), 444 (-), 791 (KZ1W/00089847/4).

Zgodnie z art. 49 § 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. - Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2025 r. poz. 1691) - zwanej dalej: Kpa, w związku z art. 7 ust. 1 ustawy, zawiadomienie pozostałych stron postępowania uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od 6 listopada 2026 r., tj. dnia, w którym nastąpiło publiczne ogłoszenie poprzez obwieszczenie w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, w Biuletynie Informacji Publicznej na stronie podmiotowej WUW w Poznaniu, we właściwych miejscowo urzędach gmin, a także w prasie o zasięgu ogólnopolskim.

W przypadku gdy po dokonaniu niniejszego zawiadomienia nastąpi:

1) zbycie własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej,

2) przeniesienie wskutek innego zdarzenia prawnego własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej,

   – nabywca, a w przypadku, o którym mowa w pkt 1, nabywca i zbywca, są obowiązani do zgłoszenia właściwemu wojewodzie danych nowego właściciela lub użytkownika wieczystego.

Niedokonanie powyższego zgłoszenia i prowadzenie postępowania bez udziału nowego właściciela lub użytkownika wieczystego nie stanowi podstawy do wznowienia postępowania.

Zgodnie z art. 10 Kpa, strony postępowania lub ich przedstawiciele i pełnomocnicy mogą zapoznać się z aktami sprawy w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, Wydział Infrastruktury, Al. Niepodległości 16/18, pok. 105 bud. C, (tel.: 61 854 12 89; e-mail: mkossakowska@poznan.uw.gov.pl; godziny obsługi klientów: poniedziałek, środa, piątek od 8:30 do 15:00; wtorek, czwartek od 12:00 do 15:00, w celu zapewnienia sprawnego przebiegu obsługi, uprzejmie proszę o wcześniejsze uzgodnienie terminu wizyty), a także mają prawo wypowiedzieć się co do zebranych dowodów i materiałów oraz zgłoszonych żądań, jak również składać ewentualne uwagi.

Niniejsze obwieszczenie wydano w związku ze zmianą i rozszerzeniem zakresu wniosku i stanowi kontynuację sprawy, w toku której wydano zawiadomienie o wszczęciu postępowania w sprawie wydania decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej z dnia 17 kwietnia 2026 r.

Mapy przedstawiające granice terenu objętego wnioskiem oraz obwieszczenie zostaną zamieszczone 9 listopada 2026 r. na stronie internetowej: www.poznan.uw.gov.pl, w zakładce Ogłoszenia.

eprasa.pl 6757e36917



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Jak Włosi zyskali suwerenność walutową

Rafał Woś

Roli banku centralnego w gospodarce kapitalistycznej nie da się – moim zdaniem – przecenić. Pomyślcie o dowolnym elemencie cyrkulacji pieniądza w obiegu: o cenie i dostępności kredytu, o stabilności sektora bankowego, o inflacji, bezrobociu, kursie walutowym. Albo o stabilności finansów publicznych.

Jednocześnie trzeba pamiętać, że bank centralny nie jest wynalazkiem aż tak starym. Pierwsi byli Anglicy – już od końca XVII w. Bank of England, gwarantując dostęp do taniego kapitału, stał się jednym z kół zamachowych rewolucji przemysłowej, która w kolejnych stuleciach rozkręciła się na Wyspach.

Reszcie zajęło trochę czasu, żeby pomysł Anglików skopiować. W XIX stuleciu banki centralne powołała większość mocarstw kontynentalnych. Stany Zjednoczone robiły to na raty, wieńcząc dzieło dopiero w przededniu I wojny światowej. Polska pierwszy (względnie autonomiczny) prototyp banku centralnego dostała w 1916 r. w postaci Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej. To ta instytucja emitowała marki polskie, które były w obiegu aż do powołania do życia złotego w 1924 r. Tę nową narodową walutę wprowadziła do obiegu instytucja o nazwie Bank Polski. Poprzednik funkcjonującego dziś NBP.

Ciekawe jednak, że nawet wtedy banki centralne – w dzisiejszym rozumieniu tego słowa – nie były jeszcze modelem w Europie absolutnie dominującym. Przypomina o tym praca włoskiego ekonomisty Luki Papiego z Uniwersytetu Politechnicznego w Ankonie. Akurat w maju 2026 r. – gdy w Polsce wspominaliśmy stulecie przewrotu majowego – Włosi mieli inną rocznicę. To właśnie wtedy doszło do ostatecznego ukształtowania się Banku Włoch. Dopiero wówczas powstał w Italii bank centralny rozumiany jako państwowy emitent waluty, zwornik systemu bankowego i centralna instytucja finansowego clearingu.

A co było wcześniej? Proces jednoczenia państw włoskich pod kierunkiem Królestwa Piemontu zaczął się w drugiej połowie XIX w. Rządząca w Turynie dynastia sabaudzka zdołała wtedy – dzięki umiejętnemu lawirowaniu między Prusami a Austro-Węgrami i Francją – doprowadzić do stworzenia państwa przypominającego kształtem dzisiejsze Włochy. A odwołującego się do idei wspólnoty kulturowej sięgającej czasów rzymskich.

Takie pospieszne jednoczenie przekładało się na istnienie kilku odrębnych ośrodków emisji pieniądza. W efekcie w 1874 r. zjednoczone Włochy miały siedem oficjalnych banków emisyjnych. To one wypuszczały istniejącego od 1861 r. włoskiego lira, który zastąpił skudy, piastry, floreny czy franki. Po efektownym kryzysie (i krachu) Banku Rzymskiego w 1893 r. liczba emitentów lira zmniejszyła się do trzech. Do samego końca – aż do 1926 r. – o miano włoskiego banku centralnego rywalizowały ze sobą Bank Włoch (Rzym) oraz Bank Neapolu i Bank Sycylii (Palermo). I nie było tak, że te dwa ostatnie czuły się w obowiązku, żeby uznać zwierzchność metropolii. W 1901 r. Banco di Napoli otrzymał od włoskiego państwa wyłączny przywilej obsługiwania przekazów pieniężnych włoskich migrantów na całym świecie. A trzeba pamiętać, że to czasy, gdy z Italii wyjeżdżało – w szczytowym okresie – aż 650 tys. osób rocznie. Przesyłane przez migrantów do kraju dewizy stanowiły więc wówczas bardzo ważną gałąź włoskiej gospodarki. Co przekładało się na ustrojową pozycję banku, który te przekazy kontrolował. W rezultacie wszystkie próby zmniejszenia autonomii Banku Neapolu i Banku Sycylii napotykały twardy opór. Zaś władza centralna nie była w stanie tych oporów pokonać. I to nawet po dużych kryzysach finansowych (np. w 1907 r.), gdy Bank Włoch – de facto – występował w roli stabilizatora systemu bankowego.

Dopiero dojście do władzy Mussoliniego i zapoczątkowane przez niego rządy faszystów zmieniły układ sił. W 1926 r. Bank Włoch przejął pozycję wyłącznego emitenta włoskiej waluty oraz regulatora rynku i (w razie potrzeby) pożyczkodawcy ostatniej instancji. Proces został domknięty 10 lat później, gdy Bank Italii stał się już oficjalnie podmiotem publicznym. I tak było aż do 1 stycznia 1999 r., gdy, wchodząc do strefy euro, Włosi zrzekli się suwerenności walutowej. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Ubóstwo znika. Ale tylko z pola widzenia

W ciągu ćwierćwiecza o ponad jedną trzecią zmalał odsetek Polaków, którzy twierdzą, że znają ubogie osoby lub rodziny. Czy w ciągu tych niemal trzech dekad wygraliśmy walkę z ubóstwem?

Joanna Tyrowicz

Autorka jest ekonomistką GRAPE

Ebenezer Scrooge z „Opowieści wigilijnej” na prośbę o datek dla ubogich odmawiał, bo problem biedy uważał za załatwiony. W Polsce, według CBOS, w ciągu ostatniego ćwierćwiecza o ponad jedną trzecią zmalał odsetek Polaków, którzy twierdzą, że w ogóle znają ubogie osoby lub rodziny: niegdyś 73 proc., a dziś mniej niż połowa. Czy w ciągu tych niemal trzech dekad wygraliśmy walkę z ubóstwem?

W GRAPE, wspólnie z Adamem Surajem, przeanalizowaliśmy trzy dekady danych o bieżących wydatkach polskich rodzin. Ubóstwo relatywne oznacza wydatki poniżej 60 proc. mediany konsumpcji po uwzględnieniu wielkości rodziny. Dotyczy 14 proc. osób i wskaźnik ten praktycznie nie zmienił się przez ostatnie dwie dekady. Strefa niedostatku, wyznaczana minimum socjalnym oraz skromnym uczestnictwem w życiu społecznym, obejmuje 42 proc. Polaków. W ciągu ostatnich 25 lat zasięg tych miar nie zmalał, choć kraj stał się znacznie bogatszy.

Mamy złe miary? Nie. Ponad 14 proc. naszych współobywateli wydaje na żywność mniej, niż przewiduje minimum egzystencji. Czy głodują? Tego nie wiemy: część może korzystać z własnych upraw, posiłków u bliskich czy w szkołach. Ale ta liczba mówi, jak ciasno może być w domowym budżecie.

Jak to możliwe, że tak wielu z nas uważa, że nie zna nikogo ubogiego? Ubóstwa nie rozpoznamy już po braku telefonu komórkowego czy internetu. Za to w rodzinach ubogich zakup żywności pochłania ok. 45 proc. wydatków, w zamożnych ok. 20 proc.; ci pierwsi wydają 470 zł, podczas gdy ci drudzy 810 zł średnio miesięcznie na osobę.

Po zakupach żywnościowych rodzinom ubogim na wydatki związane z mieszkaniem zostaje niecałe 300 zł na osobę – rodziny zamożne przeznaczają na ten cel ponad 1,1 tys. zł na osobę. Po tych podstawowych wydatkach ubogim rodzinom zostaje 128 zł miesięcznie na osobę na telefon, internet i transport (prawie 700 zł na osobę w rodzinach zamożnych). Na zdrowie i edukację rodziny ubogie przeznaczają miesięcznie 50 zł na osobę, a zamożne niemal 300 zł, przy czym w obu grupach odsetek tych, którzy w danym miesiącu nie wydali ani złotówki na te dwa cele, jest podobny, więc różnica dotyczy kwoty, a nie częstotliwości. Innymi słowy, w dzisiejszej Polsce rodziny ubogie też mają komórki i internet, ale po opłaceniu rachunków za nie nic już nie zostaje na dojazdy. I nadal nie stać ich na odpoczynek.

Skąd to wiemy? Rodziny majętne wydają na transport 10 razy więcej na osobę niż rodziny ubogie: te pierwsze 550 zł miesięcznie na osobę, te drugie średnio 63 zł. Telefon i internet stały się niezbędne, ale przemieszczanie się, zmiana pracy czy wyprawa do kina nadal wymagają środków, których wiele rodzin po prostu nie ma.

Skoro wskaźniki makroekonomiczne tak bardzo się poprawiają, dlaczego nie maleje skala ubóstwa? Ryzyko ubóstwa rozkłada się w naszym społeczeństwie bardzo nierówno: ubóstwo relatywne dotyczy 3 proc. singli, niemal co piątego samotnego rodzica, co czwartej rodziny z co najmniej trojgiem dzieci i co trzeciej rodziny wielopokoleniowej. Te ryzyka praktycznie się nie zmieniają: po uruchomieniu świadczeń dla rodzin z dziećmi nieco zmalało ubóstwo w tej grupie, lecz jego ryzyko rośnie w rodzinach wielopokoleniowych i nasila się w tych rodzinach, w których rodzice mieszkają z dorosłymi dziećmi. A średnio ubóstwo pozostaje stałe, bo zmienia się struktura naszego społeczeństwa.

W badaniach CBOS na początku wieku większość z nas uważała, że źródłem ubóstwa jest brak pracy. Dziś za ubóstwo obwiniamy lenistwo i niezaradność. Tymczasem z danych wynika, że praktycznie nie ma znaczenia, czy rodzina utrzymuje się z pracy, czy ze świadczeń. O ile z pewnością zasadniczo obniżyło się bezrobocie, o tyle sfera niedostatku i ubóstwa jest trwała. I patrząc w dane, mam przekonanie graniczące z pewnością, że za następne dwie dekady trzeba będzie napisać podobny tekst. Chyba że zaczniemy poważnie analizować przyczyny ubóstwa i wdrażać skuteczne polityki publiczne. ©℗

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Jak się w Polsce walczy z ubóstwem?”

eprasa.pl 6757e36917